

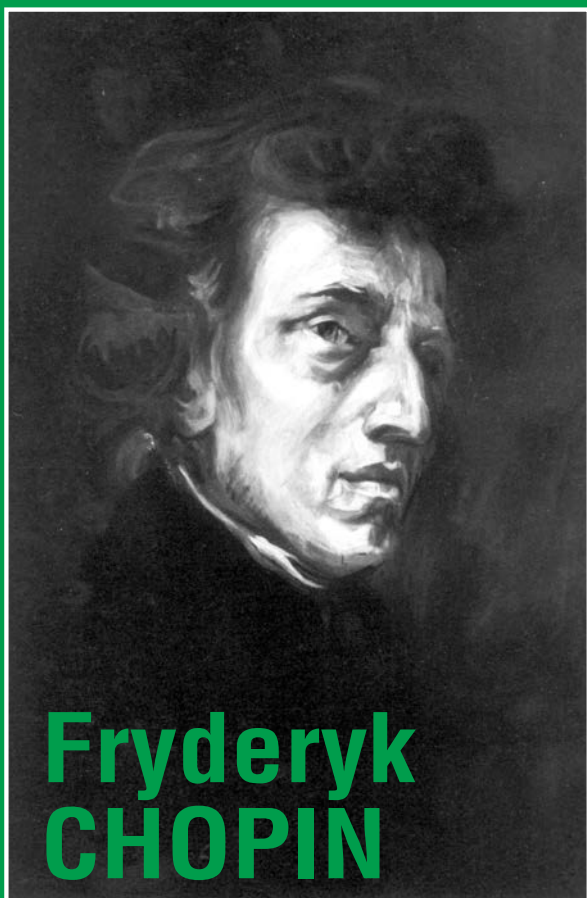
# RES HUMANA

Humanizm  
Racjonalizm  
Kultura świecka

2 /105

2010 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 2 (105) 2010 Rok wyd. XIX • cena 7,00 zł



**Fryderyk  
CHOPIN**

**W ROKU CHOPINA 1810–2010  
Ten! ... co Polskę głosił”**

(czytaj s. 1)

## **WYZWANIA CYWILIZACJI**

*Jan SZMYD, Lesław P. MICHNOWSKI,  
Daniel ZBYTEK*

## **Maciej KIJOWSKI**

*Prawo do pogrzebu świeckiego*

## **W KRĘGU PROBLEMÓW MORÁLNYCH**

*Debaty ciąg dalszy*

## **Z DZIEDZICTWA KAROLA DARWINA**

*Andrzej GECOW, Marian P. JANKOWSKI*

## **PORTRETY HUMANISTÓW**

*Józef SZAJNA, Stanisław WIŚNIEWSKI*

## **XI ZJAZD KRAJOWY TKŚ**

*im. Tadeusza Kotarbińskiego  
12 czerwca 2010 roku*

*Ponadto felietony, recenzje, noty: m.in. Tadeusz  
BARTOŚ, Eugeniusz KABATC, Wacław SADKOWSKI,  
Maria SZYSZKOWSKA, Krzysztof Teodor TOEPLITZ*



# Spis treści

## FAKTY • KOMENTARZE • REFLEKSJE

W Roku CHOPINA 1810–2010

„Ten!... co Polskę głosił”/ 1

Cyprian Kamil NORWID

*Fortepian Chopina*/ 1

Daniel ZBYTEK

W dniu 22 lutego/ 3

Komentarz

Zdzisław SŁOWIK

Choroba incydentalizmu/ 5

## WYZWANIA CYWILIZACJI I ODPOWIEDŹ HUMANISTYCZNA

Jan SZMYD

Cywilizacja współczesna w perspektywie  
myślenia edukacyjnego/ 7

Lesław P. MICHNOWSKI

Czy faktycznie już po kryzysie?/ 11

Daniel ZBYTEK

Aktualność dzieła Josepha Conrada/ 14

## W KRĘGU LUDZKICH SPRAW

Maciej KIJOWSKI

Prawo do pogrzebu świeckiego/ 18

## O PROBLEMACH MORALNYCH: dyskusji ciąg dalszy

Dionizy TANALSKI

Etyka, moralność i siedem „władz duszy”/ 25

Wacław SADKOWSKI

Syndrom *Katopolo*/ 30

Adam KĘDZIERAWSKI

Niepokoje i nadzieje moralne/ 32

## Z DZIEDZICTWA KAROLA DARWINA

Andrzej GECOW

Schodki czy ewolucje – emocje w biologii/ 34

Marian Piotr JANKOWSKI

Ewolucja – Powszechny Inżynier Natury/ 41

## PORTRETY HUMANISTÓW

Eugeniusz KABATC

Rozbite „lustro czasu”/ 44

Władysław LORANC

Stanisław WIŚNIEWSKI – ...artysta-malarz,  
pisarz/ 47

## FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Polskie absurdy/ 50

Eugeniusz KABATC

Dzwony prawosławia/ 52

Wacław SADKOWSKI

Kurylukowie/ 54

## WŚRÓD KSIĄŻEK

Tadeusz BARTOŚ

Resentyment wieczny żywy/ 56

Włodzimierz LEBIEDZIŃSKI

Dociekania autentyczności Jezusa/ 58

## WŚRÓD CZASOPISM

Ksawery PIWOCKI (wybór)

„ZDANIE” czyli zaproszenie do myślenia/ 63

## KRONIKA

XI ZJAD KRAJOWY TOWARZYSTWA

KULTURY ŚWIECKIEJ im. Tadeusza

Kotarbińskiego odbędzie się

12 czerwca 2010 roku w Warszawie/ 66

## DYGRESJE

Krzysztof T. TOEPLITZ

Miłe złego początku/ IV str. okładki

Na okładce: Ludwik Warynkiewicz, Fryderyk Chopin, olej na płótnie, 1972 r., kopia obrazu Eugène Delacroix z 1838 r., ze zbiorów Musee du Louvre w Paryżu.

**REDAKCJA:** Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Lech M. NIJAKOWSKI (z-ca redaktora naczelnego), Wacław SADKOWSKI, Zdzisław SŁOWIK (redaktor naczelny), Dionizy TANALSKI.

**ADRES REDAKCJI:** 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69. **E-mail:** reshumana@tlen.pl

**WYDAWCA:** Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.

Druk: Drukarnia Nr 1 w Warszawie, ul. Rakowiecka 37. Nakład – 1000 egz.; stawka VAT „0”.

# FAKTY WYDARZENIA OPINIE

W ROKU CHOPINA • 1810–2010

## „Ten!... co Polskę głosił”

Spośród niewielu świadectw, dzięki którym świat zna imię POLSKA, dzieło Fryderyka Chopina, obok Kopernika, Marii Curie-Skłodowskiej, także Jana Pawła II i Lecha Wałęsy, należy do świadectw miary najwyższej, do jednego z najcenniejszych klejnotów polskiego dziedzictwa, które jest zarazem dziedzictwem światowej nauki i kultury.

Bo dzieło Fryderyka Chopina było i pozostaje niezwykle poprzez swą niepowtarzalną uniwersalność, poprzez wyniesienie do godności wartości ogólnoludzkich wartości świata jego dzieciństwa i młodości, świata wszystkich barw i kolorów, zapachów i melodii, które oglądał czy słuchał, aby nadać im – POLSKĘ GŁOSZĄC – wymiar zdolny ogarnąć cały świat.

O tym klejnocie nie wolno nam zapominać, a tym bardziej go gubić. Więcej, wymaga troski ciągłej i szczególnej, tej troski, która w obecnym Roku Chopina powinna przebić się silnym akordem ponad sprawy małe i wrzaski równie małe, wnoszone do naszego współczesnego życia przez ludzi jakby głuchych na to, co najważniejsze i najcenniejsze dla Polski.

Powracać będziemy na naszych łamach do twórcy polonezów i mazurków, koncertów fortepianowych czy barkaloli, do muzyki tyle przejmującej co poruszającej najdelikatniejsze struny naszych uczuć, powracać do dzieła, które równie przejmująco ujął Cyprian Kamil Norwid w swym wielkim wierszu, w *Fortepianie Chopina*, dziele, które niżej przypominamy naszym Czytelnikom.

Całość tego rocznicowego akcentu dopełnia zwięzyły tekst o życiu i dziele Fryderyka Chopina.

REDAKCJA

Cyprian Kamil Norwid

## Fortepian Chopina

I

Byłem u Ciebie w te dni przedostatnie  
Nie dociezonego wątku  
Pełne, jak Mit,  
Blade – jak świt...  
– Gdy życia koniec szepce do początku:  
„Nie stargam Cię ja – nie! – Ja... u-wydatnię!...”

II

Byłem u Ciebie w dni te, przedostatnie,  
Gdy podobniałeś... co chwila – co chwila –  
Do upuszczonej przez Orfeja liry,  
W której się rzutu-moc z pieśnią przesila,  
I rozmawiają z sobą struny cztery,  
Trącąc się,

Po dwie – po dwie –  
I szmerząc z cicha:  
„Zacząże on  
Uderzać w ton?...  
Czy taki Mistrz!... że gra... choć – odpycha?”

### III

Byłem u Ciebie w te dni, Fryderyku!  
Którego ręka – dla swojej białości  
Alabastrowej... i wzięcia, i szyku,  
I chwiejnych dotknięć – jak strusiowe pióro –  
Mięszala mi się w oczach z klawiaturą  
Z słoniowej kości...  
I byłęś jako owa postać – którą  
Z marmurów łona,  
Niżli je kuto,  
Odejma dłuto –  
Geniuszu... wiecznego Pigmaliona!

### IV

A w tym...coś grał – i co? zmówił ton – i co? powie –  
Choć inaczej się echa ustrojają,  
Niż gdy błogosławiłeś sam ręką Swoją  
Wszelkiemu akordowi –  
A w tym... coś grał – taka była prostota  
Doskonałości Peryklejskiej,  
Jakby starożytna która Cnota  
W dom modrzewiowy wiejski  
Wchodząc, rzekła do siebie:  
„Odrodziłam się w Niebie  
I stały mi się Arfą – wrota,  
Wstęgą – ścieżka...  
Hostię – przez blade widzę zboże...  
Emanuel już mieszka  
Na Taborze!”

### V

I była w tym Polska – od zenitu  
Wszchedoskonałości dziejów  
Wzięta tęczą zachwytu –  
– Polska – przemienionych kołodziejów!  
Taż sama – zgoła  
Złoto–pszczoła...  
(Poznał-ci-że-bym ją – na krańcach bytu!...)

### VI

I – oto – pieśń skończyłeś – – i już więcęć  
Nie oglądam Cię – – jedno – słyszę:  
Coś?... jakby spór dziecięcy –  
– A to jeszcze kłóć się klawisze  
O nie dośpiewaną chęć:  
I trącając się z cicha  
Po ośm – po pięć –  
Szmerzą: „począłże grać? czy nas odpycha??...”

### VII

O Ty! – co jesteś Miłości-profilem,  
Któremu na imię Dopełnienie;  
Te – co w sztuce mianują Stylem,  
Iż przenika pieśń, kształci kamienie...  
O! Ty – co się w dziejach zowiesz Erą,  
Gdzie zaś ani historii zenit jest,  
Zwiesz się razem: Duchem i Literą,  
*I consummatum est...*  
O! Ty... Doskonale-wypełnienie,  
Jakikolwiek jest Twój i gdzie?... znak...  
Czy w Fidiaszu? Dawidzie? czy w Szopenie?  
Czy w Eschylosowej scenie?...  
Zawsze – zemści się na tobie... BRAK  
– Piętnem globu tego – niedostatek:  
Dopełnienie?... go boli!...  
On – rozpocząć woli  
I woli wyrzucić wciąż przed się – zadatek!  
– Kłós?... gdy dojrzał – jak złoty kometa –  
Ledwo że go wiew ruszy –  
Dészcz pszenicznych ziarn prósy,  
Sama go doskonałość rozmieta...

### VIII

Oto patrz – Frydryku!... to – Warszawa:  
Pod rozplomienioną gwiazdą  
Dziwnie jaskrawa – –  
– Patrz, organy u Fary; patrz! Twoje gniazdo –  
Owdzie – patrycjalne domy stare,  
Jak Pospolita-rzecz,  
Bruki placów głuche i szare  
I Zygmuntowy w chmurze miecz.

### IX

Patrz!... z zaułków w zaułki  
Kaukaskie się konie rwą –  
Jak przed burzą jaskółki,  
Wyśmigając przed pułki:  
Po sto – po sto – –  
– Gmach – zajął się ogniem, przygasł znów,  
Zapłonął znów – – i oto – pod ścianę –  
Widzę czoła ożałobionych wdów  
Kolbami pchane – –  
I znów widzę, acz dymem oślepiam,  
Jak przez ganków kolumny  
Sprzęt podobny do trumny  
Wydźwigają... runął... runął – Twój fortepian!

### X

Ten!... co Polskę głosił – od zenitu  
Wszchedoskonałości dziejów  
Wziętą hymnem zachwytu –  
Polskę – przemienionych kołodziejów:  
Ten sam – runął – na bruki – z granitu!

I oto – jak zacna myśl człowieka –  
Potéraný jest gniewami ludzi;  
Lub – jak od wieka  
Wieków – wszystko, co zbudzi!  
I oto – jak ciało Orfeja –  
Tysiąc pasji rozdziera go w części;  
A każda wyje: „nie ja!...”  
„Nie ja!” – zębami chrzęści –

\*

Lecz Ty? – lecz ja? – uderzmy w sądne pienie,  
Nawołując: „Ciesz się późny wnuku!...”  
Jękły głuche kamienie –  
Ideal sięgnął bruku – – „

1865 r.

## W dniu 22 lutego

(data zgodna z metryką, w użyciu jest również dzień 1 marca podawany często przez kompozytora) 2010 roku minęła dwóchsetna rocznica urodzin Fryderyka Franciszka Chopina. Miejsce urodzin to Żelazowa Wola, gdzie w przybudówce do dworu hrabiego Fryderyka Skarbka przeznaczonej dla służby, mieszkał francuski emigrant Nicolas Chopin i jego żona Justyna z Krzyżanowskich. Dworek, który jest dzisiaj eksponowany, jako miejsce urodzenia przyszłego genialnego mistrza fortepianu, jest stylizacją z lat trzydziestych XX wieku i nie ma nic wspólnego z rzeczywistym wyglądem dworskiej oficyny, ani tym bardziej z samym dworem, który uległ zniszczeniu jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku w czasie wojen napoleońskich.

Imię Fryderyk zostało nadane oczywiście w uznaniu zasług chlebobdawcy, a Franciszek (Francoise) to imię dziadka kompozytora.

Ojciec przyszłego kompozytora przybył do Polski w roku 1787 z rodzinnej wsi w Lotaryngii w wieku szesnastu lat, za namową swego krewniaka, mającego nadzieję na zrobienie w Rzeczypospolitej interesu w sprzedaży tytoniu. Z interesu nic nie wyszło, a młody Nicolas znalazł zatrudnienie, jako nauczyciel francuskiego w polskich dworach. Nicolas, chłopski syn, nie miał wykształcenia, natomiast dzięki swemu ojczystemu językowi zrobił karierę jako „native speaker”, podobnie jak dzisiaj Anglicy dorabiający na całym świecie jako nauczyciele języka Shakespeare’a.

Nicolas zaczął przebywać wśród polskiej arystokracji – Skarbkowie to najstarsza polska szlachta, sięgająca korzeniami po czasy pierwszych Piastów, których w późniejszych wiekach w znaczeniu i majątku ubiegli polscy, ukraińscy i litewscy nuworysze: Zamoyscy, Wiśniowieccy, Radziwiłłowie. Tytuł hrabiowski był, co prawda świeżo nadany Skarbkom w roku 1778 przez cesarza austriackiego, ale w dawnej Rzeczypospolitej w ogóle nie używano tytułów feudalnych, szlachta była sobie równa niezależnie od majątku, a tylko tytuł księcia przysługiwał synom króla.

Ojciec kompozytora docenił awans społeczny, jaki zawdzięczał Polsce i stał się gorącym patriotą swojej nowej ojczyzny: te odczucia przelał na swoje dzieci: jedyne go syna, Fryderyka i dwie córki. Uległ daleko idącej polonizacji, język polski był językiem używanym w domu, a jego dzieci, w tym Fryderyk, nigdy dobrze nie nauczyły się języka ojca – Fryderyk do końca swych dni, mimo wieloletniego pobytu w Paryżu, nie mówił biegle po francusku.

Pod koniec 1810 roku, ze względu na trudności finansowe, właściciel majątku w Żelazowej Woli, Fryderyk Skarbkę zrezygnował z usług konwersacji po francusku, a Nicolas Chopin przeniósł się do Warszawy z rodziną, gdzie znalazł zatrudnienie jako nauczyciel francuskiego.

Chopinowie utrzymali jednak kontakt z dawnymi chlebobdawcami oraz rodziną matki, a Żelazowa Wola była miejscem wakacyjnych wyjazdów Fryderyka i jego sióstr.

Nicolas Chopin był miłośnikiem muzyki – grał na flecie i skrzypcach, także jego żona na tyle dobrze opanowała grę na fortepianie, że dawała lekcje gry na tym instrumencie. Dzięki swym muzycznym inklinacjom rodzice kompozytora szybko zorientowali się, że ich syn ma wyjątkowe zdolności. W roku 1816 opłacili mu nauczyciela, Wojciecha Żywnego, Czecha nauczającego w zamożnych polskich domach. Mały Fryderyk szybko opanował znakomicie grę na fortepianie i już w roku 1817 dał swój pierwszy publiczny koncert. W tym samym roku napisał swoje dwie pierwsze kompozycje (polonezy: w G minor i B – major).

Mały „Szopenek” jak był wówczas zwany, zdobył dużą popularność. W Warszawie, grywał na dworze namiestnika Królestwa Polskiego wielkiego księcia Konstantego, starszego brata ówczesnego Króla Polski i Cara Rosji Aleksandra I, przed którym również koncertował w roku 1822, gdy car przybył do Warszawy na otwarcie Sejmu.

W roku 1826 Fryderyk Chopin rozpoczął studia w Konserwatorium Warszawskim, w klasie prowadzonej przez Józefa Elsnera, który zorientowawszy się w genialnych zdolnościach swojego ucznia, nie dążył do narzucania mu obowiązujących wówczas klasycystycznych kanonów, a uczył przede wszystkim kompozytorskiego rzemiosła.

Kompozycje Chopina, od najwcześniejszych lat znamionuje oryginalność, zdecydowane odejście od znanych ówczesnej publiczności standardów Mozarta czy Beethovena. W Warszawie bardzo ceniono Szopenka, jako pianistę grającego klasycznych kompozytorów, natomiast nie zdobyły szerszego uznania jego własne kompozycje. Jego zainteresowanie twórczością ludową spotkało się z uprzedzeniami – mazurki, polonezy były muzyką chłopstwa, a nie jaśniepaństwa – reakcje były mniej więcej takie, jakby dziś Górecki czy Penderecki włączyli do swego repertuaru disco polo.

Chopin z upodobaniem w swoich kompozycjach stosował technikę „rubato”, czyli chwiejność tempa wynikająca z dowolnego wydłużania i skracania dźwięków. Mistrzem „rubato” był co prawda Mozart, ale konserwatywną warszawską publiczność drażniła ta maniera wykonawcza, sprzeczna z ustalonymi technikami gry innych wykonawców.

Koncerty, jakie dał Chopin w Wiedniu w 1829 roku również przyjęte zostały z mieszanymi odczuciami – z wielkim uznaniem przyjęto znakomity poziom jego wykonawstwa, natomiast jego własne kompozycje były również nazbyt oryginalne dla miejscowych słuchaczy.

Robert Schumann, współczesny Chopinowi i jego zwolennik od najwcześniejszych lat, tak o tej postawie pisał w swoich wspomnieniach: „To jest warte podkreślenia, że w tak jałowych latach przed 1830, kiedy to każdy winien dziękować Niebu za każdą okazję do kontaktu z nadzwyczajną jakością, są krytycy, co jest przecież prawdą, że zawsze pozostają z tyłu w zrozumieniu kreatywnych umysłów i tylko wzruszają ramionami na kompozycje Chopina, a jeden z nich pozwolił sobie nawet na uwagę, że jedynie czegoś są warte, to tego by je podrzeć” (Źródło: „Chopin and other musical essays” Henry T. Finck, New York, Charles Scribner’s Sons 1894).

Podobnie jak w Wiedniu, Chopin nie zyskał uznania w Niemczech. Dopiero Francja, Paryż stała się jego muzycznym azylem.

Początki także i tam były trudne – publiczny koncert w 1831 r. zakończył się kląpą, większość słuchaczy opuściła salę przed końcem występu, co zniechęciło kompozytora do jakichkolwiek publicznych występów na następne czternaście lat. Na skutek chłodnego przyjęcia, Chopin nosił się nawet z myślą o wyjeździe do Stanów Zjednoczonych.

Chopin znalazł jednak uznanie wśród arystokracji – jego pierwszym mentorem był znany bankier Rotschild, ujęty zarówno oryginalnością muzyki jak i też arystokratycznymi manierami pianisty, znanego ze swej elegancji, uwielbienia dla modnych strojów. Fryderyk Chopin nie był przystojny – dwa zachowane dagerotypy – jeden z 1847 roku, drugi z 1849 ukazują niewysokiego, chudego mężczyznę o nieproporcjonalnie długim, orlim nosie, dużej głowie, który jednak zawsze starał się elegancko ubierać i nie szczędził pieniędzy na ubrania nawet w sytuacji, gdy miał kłopoty finansowe. Nawiąsem mówiąc, powszechnie powielane współcześnie wyobrażenia Fryderyka Chopina najczęściej wzorowane są na obrazie z roku 1829 Ambrożego Mieroszewskiego, portrecisty wykonującego zwyczajowe zamówienia swoich licznych klientów według standardów, które musiały brać pod uwagę zadowolenie zleceniodawców a niekoniecznie ich prawdziwy wygląd.

Chopin dzięki Rotschildowi trafił do ścisłej artystycznej elity Paryża – malarzy, muzyków i poetów: Delacroix, Mendelssohn, Berlioz, Heine, George Sand, Liszt. Odbiór jego kompozycji był nawet wśród tych ludzi zróżnicowany. Rzutował na to fakt, iż Chopin ograniczał się do fortepianu – nie był autorem wielkich oper czy symfonii. Fortepian uważany był za instrument salonowy, nieporównywalny w znaczeniu z kompozycjami przeznaczonymi dla ówczesnego masowego odbiorcy. Poza Lisztem, który podobnie jak Schumann od początku podziwiał geniusz Chopina, pozostali muzycy, nie mówiąc już o krytykach muzycznych, nie rozumieli oryginalności kompozycji Polaka.



Elita kulturalna Paryża pierwszej połowy XIX wieku otwarta była jednak na wyjątkowość, innowacyjność – nawet jeśli do końca jej nie rozumiała. Imperialne wojny Napoleona, podboje kolonialne krajów Azji i Afryki uwarunkowały na różnorodność świata i odmienne formy ekspresji w sztuce.

Kompozycje Fryderyka Chopina stwarzały odbiorcom olbrzymie trudności w ich odbiorze – obok łatwych, śpiewnych walczyków, mazurków, nokturnów i koncertów mamy sonaty, których nie rozumieli nawet wybitni muzycy i dziś uważane są za znacznie wyprzedzające swój czas.

Mimo tego zróżnicowania, wszystkie kompozycje Chopina są łatwo rozpoznawalne – niezależnie od poziomu ich wykonawcy zawsze mamy pewność, że chodzi o dzieło wielkiego Polaka.

Chopin nie wpisał się w jakąkolwiek tradycję muzyczną, jak to miało miejsce w przypadku Mozarta, Beethovena, Bacha. Wyróżnił się jednoznacznie i pozostał do dziś wyjątkowy – trudno mówić, aby powstała jakakolwiek szkoła, tradycja kompozytorska wzorująca się na Fryderyku Chopinie.

Dziś traktowany jest w ojczystym kraju jako swoisty pomnik narodowych osiągnięć, mniej natomiast składa mu się hołdu dla jego innowacyjności, dążenia do oryginalności, wytyczania nowych dróg poznania w ludzkiej kulturze. Chopin wprowadził do kultury „wysokiej” polską twórczość ludową, zapoczątkował długą listę europejskich twórców „narodowych”, którzy podobnie jak on, skorzystali z tradycji muzyki granej we wsiach i małych miasteczkach. Poszerzył w ten sposób ludzką wrażliwość na inną, niż tą tradycyjnie związaną z dworami lub kościołami. Intencją Chopina i jego naśladowców było więc zwiększenie zakresu wrażliwości słuchaczy na nowe tony i dźwięki, a nie na podkreślenie wyjątkowości jakiegokolwiek narodu.

Twórczość Fryderyka Chopin jest dziś własnością całego świata.

Daniel S. ZBYTEK



---

# CHOROBA INCYDENTALIZMU

---

Nawet nie wymagająca szczególnej bystrości obserwacja polskiego życia publicznego, zwłaszcza politycznego w ostatnim czasie, skłania do przekonania o postępującej incydentalizacji tego życia. Świat bowiem, który oglądamy, o którym słyszymy i czytamy – to świat permanentnego incydentu: niby coś się dzieje, są jakieś spory, wypadki, zdarzenia czy wypowiedzi, lecz są one wszystkie razem po prostu incydentami, wypadkami o niskim, jeśli nawet żadnym stopniu istotności, o wadze odległej od realnej rzeczywistości. Najczęściej występują w maskach, ukrywających ich rzeczywisty cel i sens.

Przyjrzyjmy się tym maskom, ukażmy twarze, które skrywają.

Oto ponownie, w roli zgoła dyżurnej, wskrzesił się teatr widm przeszłości, widm zemsty i odwetu: wyemitowany nieprzypadkowo w porze największej (potencjalnie) oglądalności przez jedynekę publicznej telewizji pseudodokument o Wojciechu Jaruzelskim, prymitywny w swej treści i formie propagandowy paszkwil przypominający najgorsze czasy nieodległej przeszłości, to obliczony z całym cynizmem instrument odbierania społeczeństwu dobrej o Generale pamięci, zrealizowany na polityczny obstalunek tej formacji czy tego politycznego sztabu, który wciąż

żyje wizją „IV RP” i wciąż chce tworzyć nową polską historię, obliczoną dziś na użytek reelekcji obecnego prezydenta RP. To obrzydliwe praktyki, hałas wielki i toksyczny dym, za który ktoś już zapłacił i zapewne zapłaci jeszcze więcej.

Widmo nieodległej przeszłości wskrzesił też wyrok Trybunału Konstytucyjnego w sprawie emerytur b. funkcjonariuszy służb specjalnych PRL, także pozytywnie zweryfikowanych przez solidarnościową już władzę. Niezmiernie wnikliwa, jeśli nie miażdżąca krytyka tego niejedno-myślnie zresztą przyjętego orzeczenia, przeprowadzona przez publicystkę „Gazety Wyborczej”, nie pozostawia złudzeń: wciąż żywe jest w wielu środowiskach, nawet takich, które tworzą Trybunał Konstytucyjny, myślenie w kategoriach politycznych, a nie w kategoriach prawnych; że dla wielu mijający czas nie wygasza – jak zaleca orzecznictwo Trybunałów Międzynarodowych – sporów z przeszłości, lecz ma te spory wciąż odświeżać, wciąż rozdrapywać zablizniające się rany.

Jest gorzkim paradoksem, że w tym nieustającym sporze o przeszłość nie oszczędzono całym ostatnio życia i dzieła Ryszarda Kapuścińskiego: dziennikarz „Gazety Wyborczej”, Artur Domosławski, w opublikowanej właśnie swej nader ambitnej i budzącej szacunek, co ponad miarę rozwlekłej opowieści biograficznej o autorze Cesarza, nie przewidział, że swymi małostkowymi zgryźliwościami i wieloma bardzo subiektywnymi ocenami, wznieci na nowo spór na temat rzekomo „aktywnej” współpracy Kapuścińskiego z polskim wywiadem, jakby te kontakty, sporadyczne i wymuszane, były jakimś jego śmiertelnym grzechem, zdolnym przekreślić całe życie. Szef inkwizytorów IPN pospieszył już z bliskich mu łamów „Rzeczpospolitej” sformułować przesłanki aktu oskarżenia i zarazem wyroku, które skłoniły autora biografii do potrzebnej i mądrej polemiki z oszczercą. W taki sposób zresztą, jak uczynił to w swej książce o swym „szczególnym przyjacielu, bliskim i nie do końca bliskim”; bardzo bliskim dla tych wszystkich, których w swych książkach uczył mądrzej widzieć współczesny świat.

Życie polskie w świecie incydentalnym wypełniają w stopniu niemniejszym prace sejmowych komisji śledczych. Uściślijmy: nie wszystkich. Dwie z nich: do sprawy wyjaśnienia tragicznej śmierci Barbary Blidy czy sprawy tzw. nacisków, a w istocie – patologii dwuletnich rządów PiS, to prace nad wyraz doniosłe i trzeba prace tych komisji mocno wspierać w ich dążeniu do ujawnienia prawdy i sprawców zła. Inaczej w przypadku prac tzw. komisji hazardowej, fascynującej do granic obłędu wszystkie w istocie polskie media. Bo nie wiadomo do końca dlaczego uczyniły z ordynarnej prowokacji CBA, kierowanego przez jego niedawnego wodzireja, rzecz godną tak wysokiej adoracji, dlaczego dały się wciągnąć w tę fałszywą grę, w ten dobrze reżyserowany teatr złej sprawy.

Widać bowiem gołym okiem, patrząc bez uprzedzeń czy zaciętrzewienia różnych sezonowych gwiazdorów tej komisji, na jej realne efekty, że chodzi nie o poważne wyjaśnienie złożonych zresztą spraw funkcjonowania kasyn czy salonów gier hazardowych, lecz o czystą politykę, o to, aby osłabić obecny układ rządzący w obliczu nadchodzących wyborów – prezydenckich, samorządowych i w nieodległym czasie także parlamentarnych. Tak, można zrozumieć PiS i jego gwardię o co toczą swą hazardową grę. Niedawny, poznański zjazd tej partii grze tej nadał rangę programową, w całej jego brutalności, zadęciu i pysze.

W końcu, w poczuciu pewnego zażenowania dodajmy, że w niedobry klimat incydentalizmu wpisuje się do pewnego stopnia wybrana przez PO droga wyłonienia kandydata tej partii w wyborach prezydenckich. Wnosi ona w polskie życie publiczne także rzeczy błahe czy niepotrzebny szum, zakłócający skądinąd ciekawy eksperyment polityczny.

Oto obraz kraju kwitnącej incydentalizacji życia publicznego, kraju masek, które trzeba odślaniać. Zły to czas dla rozumności, rzeczowości i powagi. I chociaż pojawiają się na tym obrazie rzeczy czy inicjatywy istotnie ważne, to giną pod naporem błahości i miazgi. Czas wyjścia z tego klinczu wszelako się zbliża, choć, sądząc po wszystkim, czeka nas jeszcze wiele straconego czasu i krzywd. Tym bardziej nie wolno zmarnować nadchodzącej okazji, bo czas najwyższy kraj wyleczyć z jego choroby, choroby incydentalizmu.

**Zdzisław SŁOWIK**



---

# WYZWANIA CYWILIZACJI I ODPOWIEDŹ HUMANISTYCZNA

---

Jan SZMYD

## Cywilizacja współczesna w perspektywie myślenia edukacyjnego

---

1. Kondycja człowieka współczesnego wymaga radykalnej zmiany, cywilizacja zaś – gruntownej naprawy. Jedno i drugie domaga się imperatywnie „rozsądnej i wspólnej inicjatywy”, wielostronnego i skoordynowanego działania głównych sił społecznych, politycznych, gospodarczych, ideowych i intelektualnych świata współczesnego na rzecz „odrodzenia” człowieka i strukturalnej przebudowy zastanej cywilizacji, zasadniczej reorientacji kierunku jej rozwoju, a co za tym idzie – na rzecz jej odnowy i ochrony. I z tego to głównie powodu staje się ona przedmiotem wzmocnionej refleksji naukowej, filozoficznej, etycznej, publicystycznej, a także pedagogicznej. Poszerza się i różnicuje nie tylko krąg problemów, pytań, różnych koncepcji teoretycznych i ideowych, projektów i prognoz, wizji i utopii, ale także – co uznać można za szczególnie pozytywny przejaw tego intelektualnego procesu – pogłębia się poznawczy i krytyczny walor owej refleksji, poczucie jej wagi i znaczenia.

Główną przyczyną tego przyływu coraz wnikliwszej i dramatyzującej się myśli dotyczącej cywilizacji współczesnej są coraz bardziej niepokojące jej przemiany i trendy

rozwojowe, widoczne rozdroża i zagrożenia oraz nasilające się przejawy kryzysu.

Dokonywane są także różne jej diagnozy, formułowane rozmaite pomysły jej uzdrowienia, naprawy. Postulowane są dość często także zmiany kierunku jej rozwoju, a nawet alternatywne wizje nowej cywilizacji.

Wśród autorów tych różnorodnych i coraz liczniejszych analiz, diagnoz, charakterystyk i opisów zastanej cywilizacji znajduje się m. in. wybitny pedagog i humanista – Bogdan Suchodolski.

Jego odniesienie do problemów współczesnej cywilizacji jest twórcze i w znacznej mierze odkrywcze, a zarazem bardzo swoiste. Głównym jego wyróżnikiem jest wyświeltanie i krytyczne ujmowanie charakteru, głównych cech i mechanizmów, trendów rozwojowych oraz wpływu na życie jednostkowe i zbiorowe cywilizacji współczesnej z perspektywy oryginalnej myśli edukacyjnej oraz konsekwentnie humanistycznej orientacji filozoficzno-antropologicznej i aksjologicznej. Daje to pogłębiony i wnikliwy, humanistycznie zatroskany i moralnie wyostrzony wgląd w strukturę i mechanizmy obecnej rzeczywistości cywilizacyjnej, połączony z interesującym pedagogicznym

projektem przyszłościowym, tzn. z nowatorską koncepcją edukacji permanentnej.<sup>1</sup>

W kontekście różnych, mniej lub bardziej udanych prób odczytywania współczesności przez różnych badaczy, myślicieli i intelektualistów, edukacyjno-humanistyczna próba w tym zakresie B. Suchodolskiego zasługuje na uwagę zarówno ze względu na swą wysoką rangę poznawczo-krytyczną jak i z uwagi na jej humanistyczny charakter.

Wypowiedzi B. Suchodolskiego w tej kwestii współbrzmia z opiniami innych polskich badaczy, m.in. Z. Baumana, J. Bańki i innych.<sup>2</sup>

**Diagnoza sytuacji świata współczesnego skłania autora do dramatycznego apelu o zasadniczą reorientację kierunku rozwoju cywilizacji zachodniej. Jednak nie na zasadzie takiego czy innego projektu przyszłościowego, bo takiego projektu jego zdaniem nie ma i być nie może – B. Suchodolski nie podziela tu wizjonerskich obrazów cywilizacji przyszłości, np. wizji A. Schaffa czy I. Wallersteina – ale w drodze trudnego i organicznego naprawiania, bądź usuwania tego, co w niej aktualnie jest złe i możliwe choćby do częściowej naprawy.** Píše więc: „Nie istnieją recepty na realizowanie takiej reorientacji. Nikt nie jest w stanie zarysować szczegółowego projektu takiej innej przyszłości. Daje się jednak odczuć, że konieczne jest zahamowanie narastających niebezpieczeństw, zapowiadających ostateczną katastrofę”<sup>3</sup>.

Nie ma też porozumienia co do sposobów działania na rzecz odnowy cywilizacji. „Nikt nie może z pewnością określić, jaka powinna być orientacja rozwoju cywilizacji, aby uchronić ją od katastrofy i przekształcić w dobro służące szczęściu ludzi. Nie ma także powszechnej zgody w sprawie środków potrzebnych do zapewnienia tej odnowy”<sup>4</sup>.

Ze swej strony proponuje szeroki „program odnowy”. Zawiera on stosunkowo rozległy zestaw fundamentalnych postulatów, które można uznać za bardzo trudne, a może nawet wręcz niemożliwe do zrealizowania w przewidywalnym czasie, ale jednak nie do pominięcia i zlekceważenia przez siły decyzyjne współczesnego świata – jeśli cywilizacja ma przetrwać, a człowiek wyjść z obronną ręką z usiłowań o uwolnienie się z ogromnego zakleszczenia cywilizacyjnego, w którym obecnie się znalazł. Oto ich lapidarne sformułowanie: „skończyć z wojnami”, „z wyścigiem zbrojeń”, „uchronić środowisko naturalne”, „zlikwidować biedę i

bastiony egoizmu i bogactwa”, „znaleźć środki dla pogodzenia krajów rozwiniętych i rozwijających się”, „w całym świecie stworzyć warunki życia godne człowieka, to znaczy zapewnić wyżywienie, oświatę, opiekę lekarską, uczestnictwo w kulturze”, „przezwyciężyć społeczne nierówności i niesprawiedliwości, by uspokoić ślepią złość wydziedziczonych i zahamować ekspansję aroganckiego luksusu możnych tego świata”, „starać się zbudować wielkie porozumienie między narodami, organizując dialog różnych cywilizacji, przeciw partykularyzmu i fanatyzmem”, „w tym świecie okrutnym i pełnym nienawiści trzeba bronić zapomnianej i tłumionej godności”<sup>5</sup>.

**2.** B. Suchodolski odpowiada przede wszystkim na pytanie, jaka rola w koncepcjach odnowy cywilizacji współczesnej przypada edukacji, pedagogice i pedagogom?

Stwierdza, że jest to rola o wiele bardziej znacząca niżby się z pozoru to wydawało, ale, oczywiście, na miarę istniejących tu możliwości. Rolę tę dostrzec można wyraziście, bliżej rozpoznać i zrozumieć, a w konsekwencji trafnie ocenić w kontekście nowego paradygmatu myślowego dotyczącego charakteru, zadań i funkcji edukacji we współczesnym świecie. Paradygmatu, który nie podziela większości elementów teorii i ideologii pedagogicznej modnych w czasach obecnych pedagogii postmodernizmu czy radykalnych nurtów tzw. antypedagogiki, czy pedagogiki negatywnej, a wspiera się na uniwersalnym dorobku tradycyjnej myśli pedagogicznej i na niektórych konstruktywnych koncepcjach współczesnej myśli pedagogicznej.

**3.** Wskażmy na podstawowe przesłania teoretyczne i normatywne tego paradygmatu.

#### **Pierwsze przesłanie:**

Edukacja i wychowanie mają wymiar antropologiczny, kulturowy i cywilizacyjny. Należą do najbardziej znaczących czynników zmiany i twórczego przeobrażania człowieka, kultury i cywilizacji. Funkcje adaptacyjne, przystosowawcze i umiejętnościowo-praktyczne w odniesieniu do jednostek ludzkich nie wyczerpują ich zadań i funkcji. Zadania te i funkcje są znacznie szersze, dotyczą właśnie naprawy i ochrony cywilizacji. **Odnosi się to zwłaszcza do edukacji permanentnej, która prawdopodobnie współtworzyć będzie w przyszłości społeczeństwo wychowujące, będące pożądaną alternatywą w stosunku**

## **do wyjąłwiającego egzystencję człowieka i ograniczającego jego możliwości rozwojowe społeczeństwa konsumpcyjnego.**

Według twórcy nowej koncepcji edukacji permanentnej „[...] na poziomie pierwszym edukacja permanentna znajduje się blisko życia i służy doskonaleniu społecznej i zawodowej działalności człowieka. Na poziomie drugim, w zakresie już bardziej organicznym, ma swój udział w realizacji ważnych zadań dla ochrony cywilizacji i zawrócenia jej aktualnego rozwoju z błędnej drogi. Na trzecim wreszcie poziomie edukacja permanentna winna służyć uwolnieniu człowieka z więzów narzuconych przez świat, który stał się mu obcy i wrogi”<sup>6</sup>.

### **Drugie przesłanie**

**Edukacja jest jednym z ważniejszych czynników kształtowania przyszłości cywilizacji.** Być może jest ona w tym procesie nawet czynnikiem ważniejszym od czynników politycznych, ideologicznych, ekonomicznych i technicznych. Ale spełniać ona może tę przynależną do niej rolę współtwórcy przyszłości nie na zasadzie uproszczonego pojmowania „wychowania dla przyszłości”, tzn. przygotowania młodych do gotowego modelu pożądanego jutra, bo takiego modelu nie ma i być nie może, chyba, że wdamy się w dowolne, a więc wychowawczo mętne i bałamutne wizje świata przyszłego.<sup>7</sup> Co prawda potrzebna jest tu pewna utopia, jednakże nie utopia dowolna, fantazyjna, ale, paradoksalnie utopia racjonalna, oparta na przezwyciężających zarówno przeszłość jak i teraźniejszość wierze i nadziei, na myśleniu krytycznym i alternatywnym, na konstruktywnej wyobraźni i racjonalnej zdolności przewidywania, na humanistycznej perspektywie rozwoju i postępu. Tego rodzaju utopia kształtuje się stopniowo z aktywnej opozycji wobec świata zastanego i z potrzeby nowego jego postrzegania, a właściwie sprowadza się ona do tej opozycji i do tego upragnionego wizerunku.<sup>8</sup>

„Utopia jest tym – jak się ją tu pojmuje – co się rodzi w dzisiejszym świecie, wbrew niemu i przeciw niemu, w umysłach i sercach ludzi dzięki motywacjom, które zachęcają ich do widzenia świata w nowy sposób”<sup>9</sup>.

Tego rodzaju ograniczoną, ale za to w pewnej mierze możliwą do urzeczywistnienia utopię współtworzyć winni współcześni wychowawcy. „Wychowawca – twierdzi B. Suchodolski – winien przekraczać horyzont rzeczywistości teraźniejszej i zająć się rzeczy-

wistością przyszłą”<sup>10</sup>. Wychowanie powinno pobudzać „siły aktywności innowacyjnej, przełamywać więzy świata ustalonego, zakończonego”<sup>11</sup>, powinno nie tylko kontynuować „misję naprawienia zła w świecie”, ale wspomagać wszystko, „co rodzi się w świadomości i umysłach ludzkich, co jest słabe i wymaga ochrony”<sup>12</sup>. Powinno ono kształtować intelekt ludzi młodych tak, „aby stał się zdolny do pojmowania rzeczywistości zarówno w kategoriach faktów dokonanych, jak i kategoriach możliwości”, winno „otwierać serce, umysł, rozwijać wyobraźnię” wychowanka, rozbudzać jego krytycyzm, innowacyjność, wrażliwość moralną i społeczną. Wówczas „Przyszłość inna od tej, jaka panuje aktualnie, będzie dzięki temu rodzić się każdego dnia”, a utopia przybierać stopniowo kształt realny<sup>13</sup>.

### **Trzecie przesłanie**

W sferze motywacji człowieka daje się odczytać – obok skłonności konsumpcjonistycznej i spokrewnionych z nią nastawień (interesowności, egotyczności, materializmu życiowego itp.) – skłonność szlachetniejszą i prorozwojową, tzn. skłonność do bezinteresownego kształcenia się i samodoskonalenia, swoistą naturalną „orientację edukacyjną” pobudzaną „wysublimowaną motywacją osobistą”. Wprawdzie nie odznacza się ona tak wielką intensywnością, jaką chcielibyśmy jej przypisać, ale być może stanie się ona w przyszłości liczącą się alternatywą w stosunku do motywacji posiadania i opartej na niej zasady „być, aby mieć” i torować będzie drogę do zasady „być, aby się uczyć”, a nawet zasady dalej idącej – „uczyć się aby być”.

Wprowadzenie tej zasady w życie nie jest oczywiście łatwe, bo dokonywane ono musi być na przekór ugruntowanej tendencji cywilizacji doby obecnej – „żyć, aby mieć” – a poza tym opierać ją można na słabiej, niż inne, rozwiniętej u większości ludzi motywacji, tzn. na „edukacyjnej orientacji życia”. Niemniej rozbudzanie tej zasady w sferze motywacji i działań współczesnego człowieka uznać trzeba za doniosłe wyzwanie, które w imię dobrze pojętego interesu człowieka i jego przyszłości należy podjąć i poprzez nowocześnie zaprogramowaną edukację permanentną oraz wypełnianie zadań właściwie rozumianego społeczeństwa wychowującego, możliwie skutecznie realizować.

Jest to jedna z ważniejszych dróg do odnowy cywilizacji i podniesienia jakości

egzystencji człowieka. Pedagog i myśliciel, którego idee i koncepcje na tym miejscu głównie przedstawiamy, pisze: „Nie jest łatwo głosić pochwałę życia kierowanego zasadą «być». Cywilizacja nasza zdominowana przez środki, nie jest wrażliwa na cele i wartości, ani na egzystencjonalny wymiar życia”, I dodaje: „Energia i pozycja jednostki są najczęściej wymierne ilością rzeczy, jakie udało się zgromadzić. Jednak nie jest to właściwa droga do odnowy cywilizacji, ponieważ na tej drodze zostaje zablokowana”.

#### Czwarte przesłanie

U podstaw zasady mogącej uzdrowić, a nawet uchronić od upadku cywilizację postindustrialną (ponowoczesną) i być może „odrodzić” człowieka współczesnego; zasady „być, aby się uczyć” i „uczyć się, aby być”, winno znaleźć się przekonanie – twierdzą pedagogiczni reformatorzy świata współczesnego – że edukacja jest nie tylko wielkim i niezbędnym instrumentarium w przygotowaniu do życia indywidualnego i zbiorowego oraz w przysposabianiu do wypełniania odpowiednich ról i funkcji zawodowych, **ale także – zwłaszcza w perspektywie przyszłościowej – istotnym czynnikiem immanentnego bogacenia życia, głębszej samorealizacji jednostki ludzkiej, jej poczucia pełni i sensu istnienia, a nawet szczęścia. Innymi słowy edukacja nie jest tylko wartością instrumentalną, ale w wyższych swych celach – wartością autonomiczną.** Idzie tu – na wyższym właśnie poziomie technologii i aksjologii wychowania – o edukację rozumianą jako kształcenie i samokształcenie bezinteresowne, bez określonych nastawień zawodowych i życiowo–adaptacyjnych, o rozwijanie własnych zainteresowań, twórcze kreowanie własnego „ja”, własnej duchowości i podmiotowości, pobudzanie i dynamizowanie naturalnej skłonności człowieka w dziedzinie jego głębszych motywacji i aktywności. „Zrozumieć fakt – pisze B. Suchodolski – że kształcenie stanowi nie tylko «instrument» zapewniający człowiekowi podstawy egzystencji społecznej i zawodowej, ale że również jest wartością autonomiczną, dzięki której egzystencja ta staje się bogata i godna przeżycia – oto klucz do zrozumienia jednocześnie sensu i perspektywy społeczeństwa wychowującego. Taka perspektywa – dodaje autor – wiąże się ściśle z określoną filozofią, z modelem człowieka”.<sup>15</sup>

**4.** Tyle o przesłaniach interesującego nas tu programu. Nasuwa się oczywiście pytanie o to, czy jest to program realny, czy to reformatorskie pedagogiczne „towarzystwo” pożądanym cywilizacyjnym i nie mniej pożądanym „odnowie” człowieka zaangażowane w ten proces śmiałej i radykalnej myśli pedagogicznej jest sensowne i rokuje powodzenie? Czy istotnie jest tak – jak pisze B. Suchodolski – że los cywilizacji i człowieka „nie znajduje się jedynie w rękach polityków”, że też w tej sprawie „wola wyraża się w głosach humanistów, wśród nich znajdują się głosy wychowawców”? Czy rzeczywiście „Przyszłość naszej cywilizacji zależy od świadomości i odpowiedzialnej aktywności człowieka, nie zaś od różnego rodzaju mechanizmów wprawianych w ruch”? I wreszcie, czy zasady i nieprzedawniony jest pogląd, iż to „Zwłaszcza pedagogowie winni zastanawiać się nad kształtem, jaki powinna przyjąć przyszłość, nad koniecznym wyborem między przedłużaniem terażniejszości a jej twórczym przeobrażaniem”?<sup>16</sup>

Niestety, na pytania te nie ma jednoznacznych i gotowych odpowiedzi. Nie ma też pewności, czy w ogóle jest możliwe wypracowanie odpowiedzi dostatecznie pewnych i zadowalających. Jest tylko nadzieja, że taka orientacja i taka postawa o które się w nich pytamy są zasadne i mogą w przyszłości czymś ważnym i oczekiwanym zaowocować. A jeśli nawet zabraknie nadziei, co byłoby tu okolicznością w znacznej mierze zrozumiałą, to pozostanie jednak wielka i dramatyczna odpowiedzialność, której nikt i nic z ramion pedagogów i wychowawców zdjąć nie może. Zdjąć nie może, bo w pewnych szczególnych sytuacjach – a taka sytuacja prawdopodobnie ma miejsce na obecnym „rozdrożu” cywilizacji i człowieka – winniśmy wybierać słuszną drogę, jeśli nawet wiemy, że prowadzi ona donikąd. „Bez względu na to, czy będzie ona łatwa, czy głęboko tragiczna, człowiek winien zachować uparte przekonanie, że wszystko winno zostać całkowicie odmienione, a nawet jeśli nie istnieje żadna nadzieja, że można by tego dokonać”.<sup>17</sup>

#### Przypisy

<sup>1</sup> Por. B. Suchodolski, *Edukacja permanentna – rozdroża i nadzieje*, przekł. Irena Wojnar, Towarzystwo Wolnej Wszechnicy Polskiej, Warszawa 2003; tenże: *Wychowanie mimo wszystko*, WSiP, Warszawa 1990.

<sup>2</sup> Por. Z. Bauman, *Razem–osobno*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003; tenże: *Ponowoczesność jako źródło cierpień*, Wydawnictwo SIC! s.c., Warszawa 200<sup>1</sup>. I. Bańka, *Rap metafizyczny...*, „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2002.

<sup>3</sup> B. Suchodolski, *Edukacja permanentna – rozdroża i nadzieje*, cyt. wyd., s. 78.

<sup>4</sup> Ibidem, s. 80.

<sup>5</sup> Por. ibidem, s. 79.

<sup>6</sup> Ibidem, s. 133.

<sup>7</sup> Ibidem Ibidem, s. ....

<sup>8</sup> Ibidem Ibidem, s. ....

<sup>9</sup> Ibidem Ibidem, s. 174.

<sup>11</sup> Por. ibidem, s. 174.

<sup>12</sup> Por. ibidem, s. 182.

<sup>13</sup> Por. ibidem, s. 181.

<sup>14</sup> Ibidem, s. 146.

<sup>15</sup> Ibidem, s. 146.

<sup>16</sup> Ibidem, s. 80.

<sup>17</sup> Ibidem, s. 105.

Autor jest profesorem filozofii i etyki w Akademii Pedagogicznej w Krakowie.

## Lesław MICHNOWSKI

# Czy faktycznie już po kryzysie?

Wbrew zapewnieniom, iż jesteśmy już po kryzysie, istnieją podstawy do twierdzenia, iż obecny kryzys finansowo-gospodarczy i społeczny stanowią jawną fazę nadal groźnie postępującego globalnego kryzysu od lat degradującego ludzkość. Byłby to kryzys ujawniony w 1972 roku przez zespół D. i D. Meadowsów ostrzegawczą prognozą Pierwszego Raportu dla Klubu Rzymskiego: „The Limits to Growth/Granice wzrostu” (Dana i Dennis Meadows oraz in.). Jego przejawy to wyczerpywanie źródeł zasobów naturalnych, niszczenie środowiska przyrodniczego oraz „eksplozja demograficzna” społeczności niżej rozwiniętych. Kryzys ten poprawnie nieprzewyciężony zagraża globalną katastrofą.

Wobec tego globalnego kryzysu – tak współcześnie silnie (m.in. bezrobocie, głód, epidemie, zmiany klimatyczne) niszczącego światową społeczność – mamy ewidentnie dwa jakościowo odmienne diagnozy i obronne podejścia:

- egoistyczne, socjal-darwinistyczne, oraz
- dobra wspólne, ekohumanistyczne.

Ekohumanizm, to partnerskie współdziałanie dla dobra wspólnego – wszystkich ludzi (bogaty i biednych, społeczności wysoko

rozwiniętych i w rozwoju opóźnionych), ich następców oraz środowiska przyrodniczego – powszechnie wspomagane nauką i wysoką techniką oraz kulturą informacyjną.

Podejście pierwsze, od lat – głównie niejawnie – lansowane, realizowane jest m.in. poprzez przekonywanie, iż wraz z rozwojem nauki i techniki światowa społeczność rozrosła się nadmiernie, niejako „rakowato”. Cechuje ją przeto zbyt duża ilość zbędnych konsumentów deficytowych zasobów życia oraz niszczycieli walorów środowiska przyrodniczego. Nadmierne upowszechnianie osiągnięć rozwoju nauki i techniki powoduje, iż od pewnego czasu znacznie więcej ludzi się rodzi, aniżeli umiera. U źródeł tego kryzysu leży zatem do niedawna zbyt dobra, dość powszechnie dostępna opieka zdrowotna, nadmiar likwidującej głód produkcji żywności, nadmierne ułatwiony dostęp do dóbr powszechnego użytku, w tym mieszkań, itp.

Jako remedium na tak określoną istotę globalnego kryzysu proponuje się celem depopulacji radykalne zmniejszenie rozrodczości, ograniczenie działalności gospodarczej oraz dalszego rozwoju nauki i techniki, a wraz z tym powrót do „natury” i materialnie nie twórczą



„duchowość”. W ślad za tym – zamiast intensyfikowania, tym razem na dobro wspólne ukierunkowanej, aktywności poznawczo-wytwórczej – co najwyżej ograniczanie luksusowej konsumpcji oraz oddawanie się – przez osoby nie zagrożone społecznym wykluczeniem lub głodem – urokom kultury wyższej: sztuce, poezji, innym mało zasobochłonnym zajęciom.

Taką „receptę” na ten kryzys nazwano strategią „zerowego wzrostu”. Polega ona na zmniejszeniu zaludnienia Ziemi do poziomu uznanego za optymalny, czyli przywracający środowisku przyrodniczemu „zdrową” postać, oraz eliminujący zagrożenie wyczerpaniem źródeł deficytowych zasobów. Niezbędne społeczne koszty takiej „odchudzającej” Ziemię transformacji, przejawiające się okresowym pogorszeniem jakości życia „odchudzanych” społeczności lub warstw społecznych, zaowocują w przyszłości dostatkiem życia „godnego człowieka” tych „wybranych”, którzy przeżyją taką antykryzysową kurację.

Realizacja tej strategii obronnej wymaga podtrzymywania i stabilizującego powiększania podziału światowej społeczności na coraz bardziej bogate (tym razem już patologiczne) „Centrum”, oraz biedniejsze „Peryferie”.

Taka obronna polityka będzie powodowała zatem silne indywidualne wzbogacanie oraz powiększania zdolności obronnych społeczności „Centrum”, a zarazem eliminowanie zdolności rozwojowo-obronnych społeczności „Peryferii”. Prowadzi ona m.in. do radykalnego wzmacniania potencjału zbrojnego uderzenia wyprzedzającego (preemptive war). Kształtuje także możliwość prowadzenia wojny niejawnej – cybernetycznej/spiskowej, dokonywanej metodami subtelnymi w ramach nowego, międzynarodowego i wewnętrznego „Orwellowskiego”, totalitaryzmu.

Przez lata cała ta antyhumanitarna forma obronnej antykryzysowej strategii nie była powszechnie nagłaśniana przez środki masowego przekazu. Zarazem zespół Meadowsów, któremu przypisywano autorstwo koncepcji „zerowego wzrostu” silnie się od niej odżegnywał, alternatywnie zalecając dokonanie radykalnej przemiany cywilizacyjnej, której podstawą byłoby odrzucenie egoizmu na rzecz na prawdzie (truth-telling) bazującej aksjologii „loving”, czyli w istocie „dobra wspólnego” (Beyond the Limits 1992, The Limits to Growth, 30 Year Update 2004).

Stąd też z wielkim zaskoczeniem przyjęliśmy niedawną – dla „Der Spiegel” – wypowiedź (śmiercią żony Dany osamotnionego) Dennisa Meadowsa, współautora powyższej prospołecznej propozycji działań antykryzysowych.

Podstawowy fragment tej wypowiedzi przytaczam ze względu na jej niezmiernie wielki ciężar gatunkowy:<sup>1</sup>

*SPIEGEL ONLINE: Czy jest możliwe, aby światowa społeczność mogła składać się z 9 mld osób?*

*Meadows: Nie. Nawet 7 mld ludzi jest już zbyt dużo (obecnie jest nas około 6,7 mld ludzi), jeśli chcemy zapewnić im odpowiedni standard życia. Nawet gdybyśmy chcieli nadal utrzymywać obecne wielkie społeczne rozwarstwienie – mała superbogata część światowej społeczności przy społecznym wykluczeniu jej znakomitej większości – to i tak musielibyśmy światową społeczność pomniejszyć do około 5–6 mld osób. Natomiast, jeśli chcemy, aby wszyscy ludzie mieli dobre warunki życia, to trzeba doprowadzić jej liczebność zaledwie do 1–2 mld osób.*

A więc obecny nadmiar zasiedlających Ziemię osób wynosiłby 5–6 mld. Nasuwa się tu pytanie: które rodziny, narody lub cywilizacje byłyby predestynowane do przeżycia skutków realizacji tej formy antykryzysowej strategii obronnej?

Względnie równoległe do strategii powyższej wypracowana została i jest nadal (m.in. przez Kościół katolicki) rozwijana obronna koncepcja alternatywna: dobra wspólnego – ekohumanistyczna.

Zgodnie z tą koncepcją podstawowe czynniki kryzysu – deficyt zasobów naturalnych, degradacja środowiska przyrodniczego, nadmierna rozrodczość – eliminowane by były poprzez ogólnoludzką współpracę wspomaganą dalszym rozwojem nauki i techniki.

Wobec ujawnienia się obecnie – przed laty już sygnalizowanego – omawianego wielkiego zagrożenia dla egzystencji i rozwoju ludzkości, przypomnijmy ówczesne strategiczne ostrzeżenia i obronne zalecenia Jana Pawła II wobec globalnego kryzysu. Były one przekazane światowej społeczności zwłaszcza encykliką „Sollicitudo rei socialis” (opublikowaną w roku 1987).

Najprawdopodobniej w odpowiedzi na wyżej wymienioną ostrzegawczą prognozę (1972 r.) przyczyn i groźnych konsekwencji



nie przewyżczenia kryzysu globalnego, Jan Paweł II apelował do światowej społeczności, aby budować RAZEM, jeśli chce się uniknąć ZAGŁADY WSZYSTKICH.

Wezwanie to Papież tak uzasadniał:

*Świat współczesny, łącznie ze światem ekonomii, zamiast troszczyć się o prawdziwy rozwój wiodący wszystkich ku życiu „bardziej ludzkiemu” (...) zdaje się prowadzić nas szybko ku śmierci (...) poważne niebezpieczeństwa zagrażają wszystkim: światowy kryzys ekonomiczny, powszechna wojna bez zwycięzców i zwyciężonych. (...) Każdy jest wezwany (...) (do współdziałania – L.M.) aby osiągnąć rozwój w pokoju, aby ocalić przyrodę i świat nas otaczający (...) dobro (...) i zwycięście (...) nie dadzą się osiągnąć bez (...) wyrzeczenia się własnego egoizmu.*

A więc, zamiast kierowania się nadal nienawistną zasadą „oko za oko, ząb za ząb”, niezbędne jest „przebaczenie i pojednanie” jako podstawa współdziałania na rzecz uniknięcia globalnej katastrofy i przywrócenia światowej społeczności zdolności rozwoju.

W efekcie tych antykryzysowych działań powinno się zdaniem Jana Pawła II dążyć do przekształcenia obecnej socjaldarwinistycznej „struktury grzechu” w cywilizację jakościowo nową: Cywilizację Życie i Miłości.

Papież zalecał szczególnie odrzucenie kapitalizmu spekulacyjnego na rzecz – kierującej się dobrem wspólnym – ekonomii społecznej.

Przy tym Jan Paweł II negował ideologię starania o dobro części obywateli, to znaczy tych, którzy są bogaci i żyją w dobrobycie, a zanedbywać resztę, stanowiącą niewątpliwie przeważającą większość społeczeństwa.

W ramach budowy ekonomii społecznej należałoby zdaniem Papieża dokonać m.in. twórczej syntezy osiągnięć kapitalizmu i socjalizmu:

*W komunizmie była troska o sferę społeczną, podczas gdy kapitalizm jest raczej indywidualistyczny. (...) są „ziarna prawdy” w (...) programie socjalistycznym. (...) Zwolennicy kapitalizmu za wszelką cenę i w jakiegokolwiek postaci – zapominają o rzeczach dobrych zrealizowanych przez komunizm: walce z bezrobociem, trosce o ubogich.*

Papieskie wezwania, aby „budować razem”, oraz by wraz z systemową transformacją kształtować ekonomię społeczną, nie zostały, niestety, jak dotąd nie tylko w Polsce podjęte.

Zamiast współpracy dla dobra wspólnego i postulowanej budowy nowego – eliminującego kryzysogenny socjaldarwinizm – sprawiedliwego i „długomyślnego” systemu ekonomicznego, podjęto realizację opcji neoliberalnej, redukującej obronną i rozwojową funkcję państwa (konsensus waszyngtoński).

Za „przebaczeniem i pojednaniem” oraz antykryzysowym współdziałaniem, jak również przeciwko takiej jak wyżej (poprzez radykalne zmniejszenie zaludnienia Ziemi) ekofaszystowskiej (Lebensraum) koncepcji „przywracania” światowej społeczności zdolności rozwoju wypowiedziada się także Benedykt XVI.

W encyklice „Spe salvi” m.in. stwierdził, iż *Z wielką precyzją (...) Marks opisał sytuację swojego czasu i z wielkim talentem analitycznym przedstawił drogę do rewolucji (...) miały (...) zostać zniesione wszystkie sprzeczności (...) Odtąd wszystko miało toczyć się samo słuszną drogą, ponieważ wszystko miało należeć do wszystkich, a wszyscy mieli chcieć dla siebie nawzajem dobra. (...) Nie powiedział jednak, jak sprawy miały się potoczyć potem. (...) Zakładał (...), że wraz z pozbawieniem klasy panującej dóbr, z upadkiem władzy politycznej i uspołecznieniem środków produkcji zrealizuje się Nowe Jeruzalem. (Encyklika „Spe Salvi”, p. 20–22).*

Zaś w encyklice *Caritas In Veritate* Benedykt XVI nakreślił strategiczne działania, które należy podjąć dla zintegrowania światowej społeczności w rodzinę narodów, co jest w istocie niezbędne dla przewyżczenia globalnego kryzysu i stworzenia możliwości prawdziwego rozwoju *WSZYSTKICH* ludzi.

Potrzebne jest w tym celu m.in.:

- zmiana stosunków podziału dóbr, tak aby dążenie do dobra wspólnego przeważało nad dążeniem nielicznych do luksusów, kosztem biedy większości;

- przebudowa międzynarodowej struktury ekonomicznej, a wraz z tym przekształcenia w sprawiedliwe metod globalizacji;

- ukształtowanie systemu finansowego, tak aby miał on na celu wspieranie prawdziwego rozwoju wszystkich ludzi;

- radykalne wzmocnienie ONZ, stworzenie jej możliwości realizacji przyjętych zasad i postanowień;

- powołanie prawdziwej politycznej władzy światowej dla zarządzania ekonomią światową, oraz uzdrowienia gospodarek dotkniętych kry-

zysem, czyli wzbogacenie globalizacji jawnym globalnym sterowaniem opartym na naczelnych zasadach/wartościach: dobra wspólnego, solidarności i pomocniczości.

Oznacza to m.in. potrzebę uznania za poprawne powyższych antykrzysowych założeń przywódców Kościoła katolickiego, a wraz z tym zrozumienia wielkiego zagrożenia strategią „zerowego wzrostu”. W przypadku jej kontynuowania obecny kryzys finansowo-gospodarczy i społeczny nabierze charakteru „pełzającego” i będzie powodował sukcesywne zmniejszanie liczebności światowej, w tym polskiej społeczności.

W świetle prowadzonych przeze mnie systemowych badań istoty globalnego kryzysu oraz uwarunkowań trwałego rozwoju (sustainable development) światowej społeczności obecnego kryzysu nie można przewyciężyć metodą „zerowego wzrostu”. **Kryzys globalny nie jest skutkiem przeludnienia, lecz niezgodności stosunków społecznych z wymogami wysokiego poziomu rozwoju nauki i techniki. Jego przewyciężenie wymaga odrzucenia socjaldarwinistycznego egoizmu**

Autor jest członkiem Komitetu Prognoz „POLSKA 2000 Plus” przy Prezydium PAN.

**na rzecz współdziałania opartego na aksjologii dobra wspólnego.** Dla uniknięcia globalnej katastrofy niezbędne jest pilne stworzenie społecznych (w tym politycznych i ekonomicznych) oraz edukacyjnych i naukowo-technicznych warunków dla kierowanie się w polityce dobrem wspólnym, czyli dalekowzrocznego łączenia interesu własnego z dobrem środowiska społeczno-przyrodniczego<sup>2</sup>.

#### Przypisy

<sup>1</sup> Patrz: Interview with US Economist Dennis Meadows,

‘Copenhagen Is About Doing As Little As Possible, „Spiegel Online International, 12/09/2009: <http://www.spiegel.de/international/world/0,1518,666175,00.html>, a także

Interview with Dennis L. Meadows, Euronatur,

[http://www.euronatur.org/Interview\\_Dennis\\_Meadows.dennismeadows\\_en.0.html](http://www.euronatur.org/Interview_Dennis_Meadows.dennismeadows_en.0.html)

<sup>2</sup> Uzasadnienie powyższych tez, patrz:

<http://ekoro.woj.pol.lublin.pl/no9/problems2010a.pdf>

<http://www.kte.psl.pl/wpubllm.htm>

<http://www.kte.psl.pl/ksiazlm.htm>

<http://www.kte.psl.pl/artlm.htm> .

Daniel ZBYTEK

# Aktualność dzieła Josepha Conrada

*Jądro ciemności* Josepha Conrada to arcydzieło literatury światowej, którego wybitne znaczenie dla ludzkiej kultury nie uległo zmianie od czasu opublikowania ponad sto lat temu. Niestety, przesłanie książki jest wciąż aktualne, choć stało się nieobecne w mediach i w dyskusjach politycznych w Polsce i innych krajach europejskich, zaabsorbowanych uwspółcześnioną wersją „misji białego człowieka” na wzór tej, która uzasadniała kolonia-

lizm XIX wieku, i o której pisał Conrad. Dobrze więc stało się, że Wydawnictwo podjęło się wydania książki w nowym tłumaczeniu.

Dzieło Conrada to opis podróży kapitana Marlowa na rzeczonym parowcu, płynącym wielką rzeką wśród afrykańskiej dżungli w głąb tajemniczego łądu. Opis pełni podwójną rolę – jest raz rzeczywistym łądem zamieszkałym przez „Obcych”, ale równocześnie doświadczeniem, które pozwala poznać

jednostce ludzkiej samego siebie, a także zrozumieć zachowania innych ludzi, zarówno białych, jak i miejscowych. Mieszkańcy Afryki, początkowo określani jak zwierzęta, stopniowo w narracji Conrada przeistaczają się z istot, tylko zewnętrznie przypominających ludzi, w jednostki, które są takie same jak przybysze z Europy, mające swoje marzenia, idee, ukształtowane wierzenia, którzy cierpią, przeżywają radości i smutki. „... zamustrowaliśmy kilku z nich jako załogę tego rejsu. Porządni ludzie – ci ludożercy – na swoim miejscu. Dało się z nimi pracować i jestem im za to wdzięczny” (s. 54); „najgorsze, co może się przydarzyć, to podejrzenie, że nie są nieludscy. Pojawia się z wolna. Tamci wyją, skaczą, obracają jak bąki, wykrzywiają przeraźliwie gęby, a sama myśl o ich człowieczeństwie przeszywa dreszczem – człowieczeństwem takim jak nasze.” (s. 56).

W opisie tym przygody kapitana Marlowe służą autorowi do realizacji podstawowego celu – **pokazania kulturowego zderzenia ludzi Zachodu, Europejczyków, z miejscową ludnością. Marlowe jest obserwatorem, ale i uczestnikiem wydarzeń. Jądro ciemności to prezentacja archetypu zła, jakie wyrządził i wyrządza Zachód ludziom na innych kontynentach, wykorzystując swoją przewagę techniczną do bezwzględnej, brutalnej realizacji swoich celów, najczęściej pozyskania naturalnych zasobów – kości słoniowej w czasach Conrada, a ropy naftowej współcześnie. Europejczycy i Amerykanie tylko z tego względu, że posługują się wynalazkami technicznymi, uważają ludzi na innych kontynentach za prymitywnych, choć to najczęściej oni właśnie reprezentują znacznie niższy poziom cywilizacyjny. Współcześnie najlepiej to prezentuje popularny film „Awatar” – choć to kolorowy obraz dla przeciętnego widza i odnosi się do wymyślanego świata, jest de facto protestem przeciw agresji osiłków wyposażonych w mięśnie zamiast mózgów.**

Conrad nie ogranicza się jednak tylko do okazania zła wyrządzanego mieszkańcom Czarnego Łądu. Ukazuje, że sami Europejczycy są nie tylko narzędziami zła, ale i jego ofiarami. Przychodzi tu na myśl *Korzenie totalitaryzmu* Hanny Arendt (Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1993), która przedstawia Niemców, jako ludzi „wydrążonych”,

pozbawionych jakiegokolwiek poczucia rzeczywistości, gotowych służyć jakiegokolwiek ideologii, która stanowiłaby wytłumaczenie ich bezbarwnej egzystencji, pozbawionej celu i znaczenia. W masowym odbiorze nie tylko religie, ale także i idee Oświecenia stały się tylko pozbawionym znaczenia hasłem, za którym nie kryje się żadne znaczenie, żadne przesłanie. W najlepszym razie służą jako narzędzie uzasadniające praktyki niemające nic wspólnego z ideowym przesłaniem. Agent Kurtz w *Jądrze ciemności*, najsukuteczniejszy zdobywca kości słoniowej dla swoich belgijskich mocodawców, w imię misji białego człowieka” to „wysłannik miłosierdzia i nauki, i postępu” (s. 39) która ma przynieść cywilizację Zachodu Murzynom Afryki posługuje się technicznymi zdobyczami Europy do mordowania Afrykanów celem ustanowienia swojej, niczym nieograniczonej władzy.

Narrator dojrzewa wraz z czytelnikiem, coraz więcej rozumie, lub zdaje mu się, że rozumie, rozwiewa się mgła fałszywych idei, jądro ciemności odnajduje w sobie samym, w innych ludziach „wydrążonych”, łasych na władzę, pieniądze, kość słoniową, ropę naftową – choć ta dobra materialne w miarę upływu czasu przestają mieć znaczenie i stają się tym, czym są w rzeczywistości – towarem, przedmiotem handlu, a prawdziwe znaczenie zaczyna mieć jego pragnienie panowania nad innymi ludźmi, nad światem materialnym i duchowym. „Można też być istotą tak podobocześnie niezmierną, iż jest się całkiem ślepy i głuchy na wszystko, prócz anielskich chórów. Ziemia wówczas jest tylko podpórką dla stóp.” (s. 77). Brutalnie sprowadzają czytelnika na ziemię podsumowujące słowa Kurtza: „Wytępić całe to bydło” (s. 78).

*Jądro ciemności* napisane w roku 1899, dziewięć lat po podróży Conrada wzdłuż rzeki Kongo czerpało z doświadczeń autora w tej, wówczas belgijskiej, kolonii, ma niestety wartość uniwersalną. Niestety, bo po dziś dzień, Zachód stara się narzucić ludom innych kontynentów swój system wartości. Ale nie tylko dotyczy to ludzi, którzy różnią się od Europejczyków i Amerykanów kolorem skóry czy kształtem nosa, ale wszelkich innych, których można zadekretować, jako „Obcych”, jeśli będzie taka polityczna potrzeba umożliwiająca zdobycie kontroli nad masami i przejścia niepodzielnej władzy.

Narrator, Marlow, prezentuje sam siebie, jako zwolennik „kontrowersyjnych”, jak to określają jego przełożeni, metod Kurtza. Uważa go za człowieka wyjątkowego, celebrytę, narzucającego swoją, groźną i prymitywną wizję świata innym ludziom, dążący, aby ta wizja stała się obowiązująca, aby została uznana za godną poświęcenia prawdę. Przypomina to współczesne media, opisujące „naszych dzielnych chłopców” walczących z Talibami, niezadających sobie trudu, aby przedstawić racje drugiej strony, albo po prostu zapytać, jaki jest sens zachodniej interwencji w Iraku lub Afganistanie. Dziennikarze, jak Marlow, też tylko zachwycają się współczesnymi Kurtzami, starając się unikać tematów zakazanych i niewygodnych, jak np. liczby ofiar wśród ludności cywilnej. Mimo dążenia do fałszowania realnej sytuacji, mimowolnie, jak Marlow u Conrada, pokazują tragiczną rzeczywistość. „Zgroza, zgroza” to ostatnie słowa Kurtza, gdy w obliczu własnej śmierci pojął istotę swej haniebnej działalności.

Autor *Jądra ciemności* miał jednak pewną dozę sympatii dla swego bohatera – pozwolił mu zrozumieć sens swych działań. Dzisiejsi decydenci polityczni szacują zyski i straty, podobnie jak przełożeni Kurtza doceniali rezultaty działalności swego najbardziej skutecznego agenta – przeliczalne w tonach dostarczanej kości słoniowej. Ale oni coraz bardziej obawiali się skutków jego działalności – wywołanych w imię panowania nad „czarnuchami” wojen międzyplemiennych, wyludniania się olbrzymich obszarów łądu, coraz większego niebezpieczeństwa dla białych czyhającego ze strony miejscowej ludności. Nie mają wyrzutów sumienia, za grosz ludzkiej solidarności, werbalnie tylko głoszonej, jako moralny nakaz wyższej cywilizacji białych. Ludobójstwo uprawiane przez Kurtza widzą jako zagrożenie dla swoich interesów handlowych. Inni biali nie chcą, jak Kurtz, być bogami dla miejscowych, wykorzystywać międzyplemienne animozje, aby dzięki technice, jaką biali dysponują – przede wszystkim broni palnej, prowadzić wojny jednych plemion z innymi, aby szybko się wzbogacić. Opisy działań Kurtza w *Jądrze ciemności* przypominają wojnę w Afganistanie – plemiona Tadżyków i Hazarów przeciw Pusztunom, lub odwrotnie – zależnie od sytuacji. W Afganistanie przestało już przecież chodzić

o walkę z terrorem, Al Kaidą i wszelkimi innymi organizacjami Dżihadu. Mordercy Al Kaidy, którzy zaatakowali 11 września 2001 Nowy Jork i Waszyngton nie byli przecież Afgańczykami – to w większości wykształceni Arabowie z Arabii Saudyjskiej – podobnie jak ich nominalny przywódca, Osama Bin Laden. Oczywiście nikt rozsądny, nawet ze Stanów Zjednoczonych, nie będzie atakował Arabii Saudyjskiej – stamtąd ropa płynie bez przeszkód, a biznesu pilnują miejscowi szejkowie – nie szkodzi, że antydemokratyczni bigoci, wyznający najbardziej skrajny fundamentalistyczny islam wahabitów. Oni są „nasi”, dają nam zarobić i nie przeszkadza im to, że odbywa się to kosztem miejscowych i milionów robotników z całej Azji.

Szaleństwo Kurtza i jego naśladowców w XXI wieku, nie dotyczy tylko białych – także i miejscowych. Przywódcy plemienia, z którymi Kurtz podejmował swoje ostatnie wyprawy nie chcieli się pogodzić z jego wyjazdem – on był im potrzebny do zniszczenia odwiecznych wrogów sąsiedniego plemienia. Zarzuca się Conradowi rasizm, gdyż pokazuje czarnych, jako nieokrzesanych ludożerców – ale przede wszystkim on ich pokazuje, jako ludzi – może i kanibali, ale w warunkach dżungli była to normalna praktyka, moralnie nie różniąca się od europejskich praktyk mordowania jeńców czy niewinnej ludności wrogiego państwa. Nie jest również rasizmem ukazanie przywódców plemiennych wykorzystujących przewagi techniczne białych to realizacji swoich celów politycznych. To ten sam świat ludzi wypełnionych pustką, walczących o osiągnięcie chimery – władzy dla samej władzy.

Conrad jest bezlitosny w odsłanianiu fałszu w każdej postaci – w ostatnich fragmentach powieści Marlow odwiedza ukochaną Kurtza, gdzieś w Europie, i mówi jej to, co ona chce usłyszeć: „Ostatnim słowem, jakie wymówił, było... pani imię” (s. 119). Czytelnik zna ostatnie słowa Kurtza, ale jego „Wybranka” nie oczekuje prawdy, nie interesuje ją jak żył i umarł jej mężczyzna – on też przez nią został potraktowany instrumentalnie, istotne było spełnienie jej oczekiwań, potwierdzenia samouwielbienia boskiej istoty ukochanej dzielnego bohatera Zachodu.

Conrad pokazuje, że ludzie Zachodu wszędzie, w każdych warunkach, pozostają „wydrążeni”, zniewoleni przez fałsz przez nich samych

tworzony. Pozostają obcy sobie nawzajem, także ukrywają prawdę przed sobą samymi.

***Jądro ciemności, mimo że powstało ponad sto lat temu, jest dziś równie aktualne jak było na początku XX wieku. Nie zmieniła się bowiem ludzka kondycja, trwa idea pogardy człowieka dla innego człowieka, poczucie wyższości wobec „innych”, którymi może być ktokolwiek. Mimo dwudziestowiecznych doświadczeń totalitarnych wojen, Holocaustu, „pól śmierci”, gułagów, zawsze znajdują się ludzie, którzy uważają, że są depozytariuszami nadludzkiej mądrości upoważniającej ich do panowania nad innymi ludźmi.***

W wydaniu poznańskiego „Vespera” zamieszczony został również esej Przemysława Czaplińskiego przybliżający Czytelnikowi historię powstania arcydzieła i jego odbioru w kolejnych latach – w tym także głosy krytyczne uznające Conrada za rasistę. Rzeczywiście, autor posługuje się słownictwem, dziś uważanym za niepoprawne politycznie: „negry”, „czarnuchy”, „ludożercy” itp. – ale ta krytyka pomija najistotniejszy fakt, że Conrad w tak określonym innym widzi człowieka – używa

słownictwa zrozumiałego dla współczesnych mu Europejczyków, aby pokazać haniebne praktyki białych w Afryce. Pogardliwy „czarnuch” to ten sam słownik, jak „Żydek”, „Polaczek”, „kułak”, „fellach” – pozwalający nam, ludziom, co odnosi się za każdym razem do kogoś innego, podkreślić nasz „wyższy” poziom i dystans, jaki nas dzieli o tych, którzy, choć wygadają, cierpią i radują się tak samo jak my a przecież z definicji aktualnie obowiązującej i akceptowalnej powszechnie ideologii, do rodzaju ludzkiego nie należą.

Słowa uznania należą się tłumaczowi, Jędrzejowi Polakowi. Udało mu się uwspółcześnić dawne tłumaczenie sprzed kilkudziesięciu lat i w pewnym stopniu przekazać bogactwo języka, jakim się posługiwał Conrad. Conrad, mimo że język Szekspira nie był jego językiem ojczystym, to mistrz języka angielskiego, który zrewolucjonizował sposób przekazu w tym języku, wprowadzając wiele nowych słów lub nadając innym nowe znaczenie.

*Jądro ciemności* to lektura obowiązkowa każdego inteligentnego człowieka, należąca do kanonu powalającego nam zrozumieć szaleństwa ludzkości.

Joseph Conrad, *Jądro ciemności*, Wydawnictwo „Vesper”, Poznań 2009.

## **XI ZJAZD KRAJOWY TOWARZYSTWA KULTURY ŚWIECKIEJ im. Tadeusza Kotarbińskiego odbędzie się dnia 12 czerwca 2010 roku w Warszawie**

Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa, które pod przewodnictwem prezesa prof. Jerzego J. WIATRA obradowało 10 marca 2010 roku postanowiło, działając z upoważnienia Rady Krajowej, zwołać na dzień 12 czerwca 2010 r. do Warszawy XI Zjazd Krajowy Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.

Prezydium ustaliło ramowy porządek obrad Zjazdu, zasady wyboru delegatów na Zjazd, przyjęło projekt sprawozdania Rady Krajowej za okres kadencji 2006–2010, kierunkowe wytyczne dotyczące uchwał Zjazdu oraz omówiło kilka spraw organizacyjnych, które sprzyjać powinny sprawnemu przebiegowi Zjazdu.

Wszystkie wymienione uchwały zostaną niezwłocznie przekazane ogniom Towarzystwa w różnych regionach kraju do oceny i następnie do decyzji XI Zjazdu Krajowego.



Maciej KIJOWSKI

## Prawo do pogrzebu świeckiego

*Pamięci Doktora Mieczysława F. Rakowskiego*

Stwierdzić, że każdy ma prawo do śmierci, to truizm. Napisać, że każdemu przysługuje prawo do dobrej śmierci, to w Polsce pod rządami prawicy wcale nie tak oczywiste, zważywszy na charakterystyczną dla konserwatystów niechęć do eutanazji. Jeśli napiszę, że każdy ma prawo do pogrzebu, nie narażę się chyba nikomu. Uwagę Czytelników chciałbym wszakże skupić na ochronie nie tyle prawa do pogrzebu w ogóle, pogrzebu *in genere*, lecz prawa do pogrzebu świeckiego.

Decydującą rolę w wyborze świeckiego lub wyznaniowego charakteru pogrzebu ma wola osoby zmarłej, jej to bowiem wyłącznym i niepodważalnym prawem jest podejmowanie wiążących i niepodważalnych decyzji co do losów swego ciała po śmierci (w tym np. kremacji lub odstąpienia od pogrzebu i przekazania do celów naukowych), miejsca i przebiegu pogrzebu, powierzenia jego organizacji wskazanym osobom lub/i wykluczenia innych od tej powinności, wyglądu grobu i treści inskrypcji nagrobnej itp. Kult pamięci zmarłego jest w pierwszej kolejności jego dobrem osobistym, a nie dobrem rodziny; „skoro zatem pozostawił on dyspozycję co do (...) miejsca i formy [pogrzebu – przyp. mój], ma to znaczenie jednoznacznie rozstrzygające”<sup>1</sup>. Jeśli zatem pogrzeb Zbigniewa Religi na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie 13 marca 2009 r. miał wedle jego woli charakter świecki, dlaczego jego rodzina zdecydowała o umieszczeniu krzyża na grobie i zapewne też na trumnie? Dlaczego jednoznaczna dyspozycja lekarza i humanisty wywołała w mediach taką konsternację i skąd wzięły się żale, że na pogrzebie zabrakło biskupów (którego obrządku?), skoro nie byli współwyznawcami zmarłego<sup>2</sup>? Popłoch w prasie świadczy o jej niedojrzałości względem humanistycznego pogrzebu i kompletnej w tej sprawie niewiedzy dziennikarzy; krzyże za sprawą rodziny są zaś – z całym dla niej szacunkiem – przykładem lekceważenia woli zmarłego. Daleko bardziej i liczne i drastyczne są natomiast zachowania rodzin, które z pompą sprawiają pogrzeby wyznaniowe najbliższym sobie ateistom, agnostykom, apostatom zdecydowanie wbrew ich woli lecz dlatego, że ...co powiedzą ludzie, jak to tak bez księdza, to grzech itp. Tymczasem wyznaniowy pogrzeb urządony osobie bezwyznaniowej świadczy o tym jak mało znaczy ona i znaczyła za życia dla swoich bliskich – tak samo pogrzeb świecki osoby wierzącej jest gwałtem zadany jej przekonaniom. Oddanie czci zmarłemu to również taka forma pogrzebu jakiej życzył sobie ów zmarły – niezależnie



od światopoglądu bliskich, którzy go organizują: Edward Gierek, ateista, który pochował matkę w katolickim obrządku i umieścił w jej trumnie różaniec sprezentowany jej onegdaj za jego pośrednictwem przez papieża Pawła VI, zaprezentował postawę godną najwyższego szacunku; przyczynia się ona do mojego przekonania o jego klasie, również jako kochającego syna. Nie może dziwić, że od osób religijnych organizujących pogrzeby areligijnym bliskim będę oczekiwał równie szlachetnego zachowania i jednoznacznej decyzji o świeckim ceremoniale nawet wtedy, gdyby zmarły nie zdążył wyrazić swojej woli w tym przedmiocie a wiadomo, że był osobą niewierzącą.

Nie tylko na podstawie własnych obserwacji, lecz przede wszystkim w oparciu o pełne smutku spostrzeżenia innych osób uczestniczących w pogrzebach wyznaniowych muszę stwierdzić, że celebrujący je duchowni nader często czynią swoją powinność w sposób zdecydowanie nieemocjonalny, mechaniczny wręcz<sup>3</sup>. Pogrążeni w rutynie odklepują przepisane egzekwie nie starając się ani trochę przybliżyć zebranych osoby zmarłego, jego dokonań, osiągnięć, a o pomstę do nieba (w które przynajmniej część z nich zdaje się wierzyć) woła zachowanie celebransów podczas pogrzebów dzieci, których przedwczesne odejście interpretują antyhumanitarnie, bezwzględnie i bezsensownie komunałem „Bóg tak chciał” – tak jakby miał on w jakikolwiek sposób ukoić ból zrozpaczonych rodziców, dziadków, rodzeństwa, podczas gdy ból ten pogłębia niczym sól sypana na ranę. W istocie, najważniejsza różnica między pogrzebami świeckimi i wyznaniowymi tkwi w moim przekonaniu właśnie w osobie celebrującej uroczystość, a w szczególności w jej zachowaniu. Mistrzowie ceremonii różnią się przeto od sprawujących pogrzeby kapłanów tym przede wszystkim, że w to co robią, wkładają niesamowicie dużo serca, że każdy pochówek traktują inaczej, indywidualizując jego przebieg, poświęcając jak najwięcej uwagi osobie i osobowości zmarłego, a wcześniej spędzając wcale niemało czasu z jego rodziną, bliskimi po to, by szczerze ich pocieszyć, i po to również, by na potrzeby konstruowanego scenariusza ceremonii zbudować coś w rodzaju portretu psychologicznego zmarłej osoby. Nie oznacza to, rzecz jasna, iżby pogrzeby wyznaniowe nie nosły podobnych przeżyć. Nie śmiem generalizować, pewien jestem wszakże, iż stopień zaangażowania celebrującego pogrzeb duchownego w profesjonalizm i indywidualizm tej uroczystości jest wprost proporcjonalny do materialnego wkładu bądź to ze strony samego zmarłego (jeśli hojnie wspierał parafię), bądź też jego rodziny (im więcej zapłaci „co łaska”, tym wystawniejszy pogrzeb i tym mniejsze skrupuły wobec *pompa funebris* sprawianej człowiekowi, którego w kościele nie widziano od dziesięcioleci). Każdy pogrzeb świecki jest inny, każdy zindywidualizowany, dostosowany do osobowości zmarłego, każdy „szyty na miarę”, jak zgrabnie to określił jeden z najznakomitszych mistrzów ceremonii pogrzebowych, Jacek Borowik<sup>4</sup>. Trudno, by było inaczej, skoro scenariusz uroczystości, oprawa muzyczna, tekst pożegnalnego wystąpienia są przedkładane bliskim zmarłego do akceptacji. W trudnych chwilach dzielących śmierć od pochówku mistrz ceremonii jest bez reszty zaangażowany w jej przygotowanie i już na tym etapie – w odróżnieniu od znacznej liczby duchownych – okazuje zrozpaczonej rodzinie zmarłego empatię, ciepło, szczere współczucie, którymi obdarza później wszystkich przybyłych na sam pogrzeb. Praca mistrza ceremonii nie jest łatwa i nie każdy może ją wykonywać, obok cech, o których mowa wyżej musi wszak posiadać odpowiednią aparycję, niezawodną dykcję, kojącą barwę głosu, musi poruszać się w naturalnie elegancki sposób i władać piękną polszczyzną, musi dysponować choćby podstawową wiedzą z obszaru psychologii, kulturoznawstwa, retoryki, muzykologii, fizyki i techniki (optyka, akustyka, elektronika), ratownictwa medycznego, a także *savoir vivre'u*, który dyktuje mu przywdzianie eleganckiego, właściwego do okoliczności stroju – bądź to w formie togi, bądź też ciemnego garnituru (kostiumu). Mistrz ceremonii powinien być również znawcą teologii i liturgii poszczególnych wspólnot religijnych, skoro – *nihil obstat* – może sprawować lub współsprawować także pogrzeby wyznaniowe<sup>5</sup>;

niektórym osobom z tego grona zagadnienia te znane są szczególnie dobrze, by wskazać na Annę Borowik, która pod opieką naukową ks. dr. Włodzimierza Nasta przygotowała 2 lata temu na Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej znakomitą pracę magisterską (kierunek: teologia, specjalność: teologia ewangelicka) *Psychologiczno-duszpasterskie aspekty liturgii pogrzebu, czy Mirosława Nadratowskiego, onegdaj katolickiego zakonnika.*

Podkreślić należy również to, że złożenie do grobu osoby zmarłej z ceremoniałem humanistycznym nie musi być równoznaczne z jej areligijnym, ateistycznym, materialistycznym światopoglądem. Wystarczy choćby odwołać się do uroczystego pogrzebu sprawionego 30 czerwca 1929 r. w Tarnowie gen. bryg. Józefowi Bemowi, by przypomnieć, że była to ceremonia najzupełniej świecka<sup>6</sup>. Cóż to jednak za argument dla tych wszystkich, którzy stanowiąc dziś i stosując prawo usiłują naruszyć służące każdemu z nas prawo do świeckiego pogrzebu?

By wskazać jak dalece prawo polskie niechętnie jest pogrzebom humanistycznym, warto przytoczyć już zarządzenie nr 5 Komendanta Głównego Państwowej Straży Pożarnej z 21 czerwca 2006 r. w sprawie ramowego regulaminu służby w Państwowej Straży Pożarnej oraz regulaminu musztry i ceremoniału pożarniczego (Dz. Urz. KG PSP z 2006 r. nr 1, poz. 4 ze zm.). W stanowującym załącznik nr 3 ceremoniale pożarniczym znajduje się – i owszem – rysunek 13 „Ugrupowanie bezwyznaniowego konduktu pogrzebowego”, ale przecież § 111 ust. 14 powiada, że „w przypadku pogrzebu wyznaniowego duchowny – kapelan strażaków, jako mistrz ceremonii, odprawia egzekwie pogrzebowe”, co siłą rzeczy odbiera prawo do zabierania głosu tak duchownym Kościołów mniejszościowych niebędącym strażakami kapelanami, jak i mistrzom ceremonii świeckich, natomiast § 133 ust. 1 pkt 7, § 148 ust. 1 pkt 7 oraz § 160 ust. 1 pkt 7 zaliczają pogrzeb strażaka z pożarniczą asystą honorową do uroczystości patriotyczno-religijnych (sic!).

Niechęć wobec pogrzebów humanistycznych wyrażana jest pośrednio poprzez splatanie ceremoniałów państwowego i religijnego w sposób nie mniej spektakularny niż wobec pochówków strażaków. Prawo polskie przewiduje możliwość pośmiertnego nadawania orderów i odznaczeń. Przy wszystkich obiekcjach wobec tego typu praktyk (wynika z nich, że Rzeczpospolita nie nadaje z honorowaniem osób zasłużonych za ich życia), zgoda. Pamiętać należy przy tym, że § 32 ust. 1 pkt 1 rozporządzenia Prezydenta RP z 10 listopada 1992 r. w sprawie opisu materiału, wymiarów, wzorów rysunkowych oraz sposobu i okoliczności noszenia odznak orderów i odznaczeń (Dz. U. z 1992 r. nr 90, poz. 452 ze zm.) odnosi się do dekorowania tymi odznakami „w czasie uroczystości pogrzebowych”, a więc na cmentarzu, w kościele zaś tylko wówczas, gdyby (co dzieje się przecież bardzo rzadko) zwłoki (szczątki) osoby odznaczanej składane były w jego obrębie. Tymczasem coraz częściej zdarza się, że do pośmiertnych dekoracji odznakami orderów (odznaczeń) dochodzi w kościołach: tak było np. 15 kwietnia 2009 r. w katolickiej archikatedrze warszawskiej, w której wierni zgromadzili się dla wysłuchania mszy poprzedzającej pogrzeb Andrzeja Stelmachowskiego. Przypuśćmy, że w uroczystości przyznania mu Orderu Orła Białego chciał uczestniczyć ten i ów ateista – i znajomy profesora, pomny nie tyle jego arcyklerikalnych zachowań w ostatnim dwudziestolecu, co niewątpliwych zasług dla prawa rolnego Polski Ludowej, i jak miał się czuć na wieść o tym, że ceremonia ta nie odbędzie się na cmentarzu, przy grobie, lecz w kościele, przebywanie w którym klóci się z jego przekonaniami? Poza wszystkim naruszono nie tylko uczucia osób niewierzących zmuszonych do obecności w katedrze lub nieobecności na uroczystości dekoracji, nie tylko przywołane rozporządzenie Prezydenta lecz również Rozdział 3, tytuł „Pogrzeby z wojskową asystą honorową” obowiązującego wówczas Ceremoniału wojskowego, sygn. Szt. Gen. 1447/95, wprowadzonego decyzją nr 83/MON Ministra Obrony Narodowej z 19 czerwca 1995 r. (Dz. Rozk. MON z 1995 r. poz. 72 ze zm.), nakazujący odczytanie postanowienia Prezydenta o nadaniu orderu i przy-

pięcie jego odznaki do przygotowanej poduszki na cmentarzu, tuż przed przemówieniami pożegnalnymi, podczas gdy w omawianym przypadku postanowienie odczytano a odznakę orderu przekazano wdowie w kościele.

Aby podkreślić, jak dalece lekceważy pogrzeby świeckie ustawodawstwo Polski współczesnej należy sięgnąć także do przepisów regulujących zasady odbywania konduktów pogrzebowych. Skoro art. 65h ust. 2 ustawy z 20 czerwca 1997 r. – Prawo o ruchu drogowym (Dz. U. z 2005 r. nr 108, poz. 908 ze zm.) zwalnia je z obowiązku uzyskiwania przewidzianych tą ustawą zezwoleń, jeśli tylko poruszają się po drogach publicznych stosownie do miejscowego zwyczaju, po co w ustawach regulujących stosunek państwa do ośmiu Kościołów znajduje się podobny przywilej i po co ni mniej ni więcej tylko ośmiu Kościołom podwójna ochrona pogrzebowych orszaków? Jeszcze więcej wątpliwości dostarcza art. 4 pkt 2 ustawy z 5 lipca 1990 r. – Prawo o zgromadzeniach (Dz. U. z 1990 r. nr 51, poz. 297 ze zm.), który wyłącza zgromadzenia organizowane w ramach działalności Kościołów i (innych) związków wyznaniowych od obowiązku notyfikacji zgromadzenia publicznego (przeto również pogrzeby wyznaniowe), a nie czyni tego wobec wszystkich pogrzebów? Jeśli i tak nikt nie zgłasza pogrzebu humanistycznego organowi gminy, wspomniany przepis dyskryminuje pochówki takiego rodzaju.

Zagrożenia dla pogrzebów świeckich należy upatrywać jeszcze w innych źródłach. Otóż, art. 44 ustawy z 12 marca 2004 r. o pomocy społecznej (Dz. U. z 2009 r. nr 175, poz. 1362 ze zm.) powiada, że sprawienie pogrzebu przez gminę (a dokonanie tego, także wobec bezdomnych, jest jej obowiązkowym zadaniem własnym) odbywa się w sposób przez nią ustalony, „zgodnie z wyznaniem zmarłego”; tak samo formułuje się skądinąd obowiązek ciążący na domach społecznych wobec ich zmarłych mieszkańców, o czym traktuje § 6 ust. 1 pkt 10 lit. g rozporządzenia Ministra Polityki Społecznej z 19 października 2005 r. w sprawie domów pomocy społecznej (Dz. U. z 2005 r. nr 217, poz. 1837). Już samo to wyrażenie może sugerować konieczność sprawiania przez wspomniane podmioty wyłącznie pogrzebów wyznaniowych, to groźne przypuszczenie potwierdzają wszakże dobitniej uchwały rad niektórych gmin ustalające sposób urządzania pogrzebów. § 3 ust. 2 uchwały nr XXIV/157/2009 Rady Gminy Turawa z 20 marca 2009 r. w sprawie ustalenia sposobu sprawienia pogrzebu przez gminę i zasad zwrotu wydatków osobom do tego uprawnionym (Dz. Urz. Woj. Opolskiego z 2009 r. nr 33, poz. 599 ze zm.) powiada, że pogrzeb powinien się odbyć nie tylko „zgodnie z wyznaniem zmarłego”, ale „po uprzedniej konsultacji z przedstawicielem miejscowego Kościoła lub innymi związkami wyznaniowymi”. § 4 uchwały nr XLII/266/09 Rady Miejskiej w Łobzie z 2 września 2009 r. w sprawie sposobu sprawienia pogrzebu oraz określenia zasad zwrotu wydatków na pokrycie kosztów pogrzebu (Dz. Urz. Woj. Zachodniopomorskiego z 2009 r. nr 72, poz. 1911) powtarza nakaz zgodności pochówku z wyznaniem zmarłego, „o ile wyznanie to było znane pracownikowi socjalnemu”; nie miałbym pojęcia, co dzieje się, gdy nie jest mu ono znane, gdyby nie § 5 ust. 2 pkt 5 i 9 wliczające wśród wydatków składających się na sprawienie pogrzebu także zakup krzyża oraz „czynności podejmowane przez duchownego, kościelnego”. Niczego nie ukrywają w tej kwestii uchwały – nr 169/XIX/2008 Rady Gminy w Rożwienicy z 30 grudnia 2008 r. w sprawie sprawienia pogrzebu, w tym bezdomnym oraz określenia zasad ponoszenia i zwrotu wydatków na pokrycie kosztów pogrzebu (Dz. Urz. Woj. Podkarpackiego z 2009 r. nr 13, poz. 300) i nr XXXI/146/09 Rady Gminy Gnojno z 29 kwietnia 2009 r. w sprawie sposobu sprawienia pogrzebu przez Gminę Gnojno oraz zasad ponoszenia i zwrotu wydatków na pokrycie kosztów tego pogrzebu (Dz. Urz. Woj. Świętokrzyskiego z 2009 r. nr 289, poz. 2225) – § 3 ust. 2 pierwszej z nich powiada, że „w przypadku braku informacji dotyczącej wyznania zmarłego ceremonia pogrzebowa odbywa się w kościele rzymsko-katolickim”, natomiast § 6 bez cienia wątpliwości stwierdza, że „gdy zmarły nie był żadnego

wyznania lub był niewiadomego wyznania, ceremonia pogrzebowa odbywa się w sposób zwyczajowo przyjęty w gminie, tj. w obrządku rzymsko-katolickim”.

Fakt, iż w Roźwienicy, Gnojnie i nie tylko tam można stać się katolikiem po śmierci wbrew swej woli tylko po to, by zarobił na tym ksiądz proboszcz wynagrodzony wcale hojnie przez ucepienie jego sutanny samorządy, śmieszy tylko przez chwilę. Tak naprawdę poraża i przeraża. Dlatego przede wszystkim, że niektóre gminy mają się za państwo w państwie i stanowią lokalne przepisy łamiąc prawa człowieka w sposób ewidentny, obrażając nie tylko niewierzących, ale wszystkich niekatolików, za nic sobie mając art. 2 pkt 12 ustawy z 17 maja 1989 r. o gwarancjach wolności sumienia i wyznania (Dz. U. z 2005 r. nr 231, poz. 1965 ze zm.), wedle którego każdy obywatel ma prawo do pochówku zgodnie „z wyznawanymi zasadami religijnymi lub z przekonaniami w sprawach religii”. I jeśli którykolwiek Czytelnik pomyśli, że uchwały rad gmin wolne od dyspozycji przyjętych w Roźwienicy czy Gnojnie nie są równoznaczne z poddaniem go katolickim egzekwiom, jest w błędzie. Co wynika bowiem z § 2 uchwały nr XXVIII/231/09 Rady Miejskiej w Baranowie Sandomierskim z 24 lutego 2009 r. w sprawie ustalenia sposobu sprawienia pogrzebu przez Miasto i Gminę Miejsce Baranów Sandomierski oraz zasad zwrotu wydatków na pokrycie kosztów pogrzebu (Dz. Urz. Woj. Podkarpackiego z 2009 r. nr 21, poz. 561) i § 2 uchwały nr XXIV/274/09 Rady Gminy Zaleszany z 24 marca 2009 r. w sprawie ustalenia sposobu sprawienia pogrzebu przez Gminę Zaleszany oraz zasad zwrotu wydatków na pokrycie jego kosztów (Dz. Urz. Woj. Podkarpackiego z 2009 r. nr 32, poz. 901), skoro obie przewidują koherencję pogrzebu z wyznaniem zmarłego, a gdyby nie dało się go ustalić, nakazują dokonanie pochówku „w sposób zwyczajowo przyjęty na terenie Gminy”? Ano w tym ostatnim przypadku pogrzeb odbędzie się po prostu w obrządku katolickim, o czym panowie burmistrz i wójt informują mnie zapewne w przekonaniu o oczywistości takiej wykładni<sup>7</sup>. W kontekście tego bezprawia chyłę czoła przed Radą Miejską Mioszowa, której uchwała nr XXXIII/158/09 z 26 lutego 2009 r. w sprawie sposobu organizacji pogrzebów przez Ośrodek Pomocy Społecznej w Mioszowie (Dz. Urz. Woj. Dolnośląskiego z 2009 r. nr 63, poz. 1338) postanawia w § 6, że w przypadku braku informacji o wyznaniu zmarłego pogrzeb ma charakter świecki (przyjęcie takiego domniemania uważam za wzorcowe), choć nie wiedzieć czemu § 4 pkt 7 i tak zalicza oznaczenie grobu krzyżem do czynności związanych z organizacją pochówku.

Polski Październik 1956, czegokolwiek byśmy mu wszyscy nie zawdzięczali, uaktywnił środowiska konserwatywno-klerykalne w walce z wszystkim co niekatolickie inspirowanej przekonaniem o monopolu Kościoła katolickiego na prawdę w absolutnie każdej sprawie. Lata 1957–58, lata odwilży i odreagowania po okresie stalinizmu, zaowocowały przeto m.in. gorszącymi incydentami na katolickich cmentarzach. Na niejednym z nich wzburzony tłum (nie bez udziału duchowieństwa, bądź przynajmniej przy jego biernym wsparciu) kłosał pamięć zmarłych chrześcijan, których bliscy usiłowali pochować w obrządku innym niż rzymski (Dobiegiew, Żelów, Szczuczyn); należy przypomnieć też Żuromin, gdzie nieprzejednany kler i podjudzeni przezeń dewoci zasypali grób wykopany uprzednio dla pochowania przewodniczącego prezydium tamtejszej Miejskiej Rady Narodowej Stanisława Nikla, usiłując nie dopuścić do jego świeckiego pogrzebu, czy Poznań, gdzie z winy jednego z proboszczów odwlekano pogrzeb (katolicki!) zmarłego w katastrofie lotniczej kpt. pil. Kazimierza Suchana, gdyż prałat nie życzył sobie na cmentarzu sztandarów ludowego wojska i przemówień jego przedstawicieli<sup>8</sup>. Mimo że od tych wydarzeń minęło już ponad pół wieku, aktywność wstecznego ciemnogrodu, chorego z nienawiści do każdego przejawu racjonalizmu, bynajmniej nie maleje. Śmiano się z ojca miasta, który zmarł nie szcędząc słabego zdrowia dla dobra Żuromina, a szkolnym dzieciom nakazano wyzywać jego rodzinę przybyłą na cmentarz, drwiono z polskich Sił Zbrojnych, dzięki którym katolicki pleban

wiódł wygodny i syty żywot w polskim Poznaniu, a dziś naigrawa się jeden z drugim z pogrzebów humanistycznych, już to publikując pełne pogardy teksty<sup>9</sup>, już to przyjmując prawo, w którego „majestacie” można być z łaski pochowanym właśnie jako katolik, choć nigdy nim się nie było za życia lub zdecydowało się na przyjęcie innego światopoglądu.

Do pogrzebów świeckich dochodzi zarówno na cmentarzach komunalnych, jak i na wyznaniowych. Co do tych pierwszych, prowadzą je gminy jako zadanie własne, nie może to być wszakże żadną miarą rozumiane jako ich finansowe zaangażowanie w budowę i utrzymanie zlokalizowanych tam kaplic. Obecność tychże, zaledwie fakultatywną i uzasadnioną „lokalnymi potrzebami” sankcjonuje dopiero § 7 ust. 2 pkt 1 rozporządzenia Ministra Infrastruktury z 7 marca 2008 r. w sprawie wymagań, jakie muszą spełniać cmentarze, groby i inne miejsca pochówku zwłok i szczątków (Dz. U. z 2008 r. nr 48, poz. 284), podczas gdy jego § 7 ust. 1 pkt 6 zalicza do obligatoryjnych części nekropolii teren niezbędny pod kostnicę lub dom przedpogrzebowy. Jakże często zdarza się, że uczestnicy pogrzebów świeckich zmuszeni są do uprzedniego zebrania w kaplicy, która wbrew przywołanemu rozporządzeniu pyszni się w pryncypialnym miejscu cmentarza komunalnego (wzniesiona tam, a jakże, z publicznych środków) miast domu przedpogrzebowego. W wielu takich kaplicach umieszczone są na stałe krzyże, których nie tylko nie da się zdemontować na czas ceremonii świeckiej, ale nawet przesłonić, bo nikt nie pomyślał (nie chciał pomyśleć) choćby o gustownym karniszu nad krucyfiksem i błyskawicznym przywieszeniu ciemnej zasłony. Bywają tam również przytwierdzone na całe wieki do podłoża stoły ołtarzowe, a przecież – jeśli w ogóle są potrzebne – mogłyby być przemieszczane na rolkach, kółkach itp. Krzycząca obecność owych nieusuwalnych krzyży, ołtarzy, czy wizerunków świętych z Marią na ciele naruszają prawa tak osób bezwyznaniowych, jak i tych, z których wyznaniem klóci się obecność tego rodzaju sprzętów<sup>10</sup>.

Umieszczanie symboli religijnych na grobach zlokalizowanych na cmentarzach komunalnych jest osobistą sprawą osób sprawujących opiekę nad tymi grobami, o ile przestrzegają one regulaminów cmentarnych a zbyt rozbudowane symbole nie przeszkadzają innym w korzystaniu z urządzeń cmentarnych, poruszaniu się po alejkach itp. Niepożądane jest natomiast, a jakże ostatnimi czasy rozpowszechnione stawianie na cmentarzach komunalnych takich budowli jak nieproporcjonalne swoim ogromem krzyże, ołtarze, rzeźby, obecność których bywa nieraz prezentowana jako wyraz sakralizacji nekropolii<sup>11</sup> – w moim przekazaniu najzupełniej zbędnej, albowiem cmentarze komunalne (czyli etymologicznie wspólne) mają charakter bezwyznaniowy, przeto krzyże i innego rodzaju symbole religijne (skądinąd półksiężycy i gwiazdy Dawida dziwnym trafem trudno tam uświadczyć) stawiane w ogólnie dostępnych miejscach innych niż groby naruszają dobra osobiste osób bezwyznaniowych oraz niechrześcijan i niektórych chrześcijan w sposób nie mniej wyzywający jak krzyże w urzędach, w szkołach, w szpitalach, w Sejmie. Karygodnym przykładem finansowego zaangażowania się samorządów lokalnych w nasywanie cmentarzy komunalnych symboliką religijną jest asygnowanie przez miasto Kielce horrendalnych kwot na rzecz opartej o system czternastu ponaddwumetrowych kaplic drogi krzyżowej na takowym cmentarzu w Cedzynie (skądinąd poza Kielcami)<sup>12</sup> – przykład to niestety wcale nie jedyny.

Wszyscy, którym bliskie są wartości świeckiego humanizmu powinni czuć się zobowiązani do obrony i popularyzacji świeckiej obrzędowości, także pogrzebowej. Jej rozwój (tak jakościowy, jak i ilościowy) świadczy o tym, że odpowiada ona rosnącemu potrzebom społeczeństwa. Wpływa na to wzrost świadomości racjonalistycznej, wpływa rosnące rozczarowanie religijnością rozumianą w Polsce w sposób tradycyjny, płytki, nietolerancyjny. Musimy pamiętać o tym dziś, gdy z dziedzictwa Żuromina czy Poznania korzystają bez reszty i rozmiłowane w światopoglądowej nietolerancji kręgi radiomaryjne i władze niejednej lokalnej społeczności. Musimy.



## Przypisy

<sup>1</sup> S. Rudnicki, *Zagadnienia cywilistyczne ustawy o cmentarzach i chowaniu zmarłych*, „Palestra” 1987, nr 10-11, s. 106; zob. również przezczenie Sądu Najwyższego z 14 maja 1982 r., sygn. akt IV CR 171/82 (OSNCP z 1983 t. nr 1, poz. 12).

<sup>2</sup> Tym bardziej słusznie twierdził A. Boniecki MIC, „że jeżeli kardiochirurg życzył sobie pogrzebu świeckiego i głośno o tym mówił, to przedstawiciele Kościoła katolickiego nie powinni się na to pożegnanie pchać” - K. Gorzkiewicz, J. Michoń, *Śmierć jest tylko snem*, „Angora” 2009, nr 12, s. 18.

<sup>3</sup> Por. Mistrz ceremonii [rozmowa z Mirosławem Nadratowskim], „Fakty i Mity” 2009, nr 44, s. 8; S. Szwanke, *Świeccy mistrzowie* - cd., „Fakty i Mity” 2009, nr 44, s. 18.

<sup>4</sup> <http://www.pogrzebyswieckie.pl>.

<sup>5</sup> Szerzej S. Miązek, *Mistrz ceremonii w rytuale pogrzebu katolickiego*, „Memento” 2004, nr 4, s. 15; *Dwa wcielenia Mistrza. Rozmowa z Anną i Jackiem Borowikami*, „Memento” 2007, nr 4, s. 36; A. i J. Borowikowie, *Praktyczny poradnik liturgiczny dla organizatorów pogrzebów czyli Jak nie popełniać błędów organizując ceremonie żałobne w poszczególnych obrządkach*, Warszawa 2005, s. 18, 35, 37-40.

<sup>6</sup> Za przypomnienie okoliczności wyboru takiej własności formy pogrzebu generała, stanowiącej następstwo jego konwersji na islam, wdzięczny jestem wybitnemu znawcy jego życia i dzieła, starszemu kustoszowi Muzeum Okręgowego w Tarnowie mgr. Kazimierzowi Bańburskiemu, który opowiadał mi o tym 5 stycznia 2010 r.

<sup>7</sup> Pisma adresowane do autora - burmistrza miasta i gminy Baranów Sandomierski mgr Mirosława Pluty z 11 grudnia 2009 r., Or I 0114/8/09 i wójta gminy Zaleszany Stanisława Guźli z 8 stycznia 2010 r., OPS.0717/2/2010.

<sup>8</sup> Szerzej T. Frey, *Upiory średniowiecza straszą w Żurominie!*, „Trybuna Mazowiecka” 1958, nr 45, s. 1, 5; E. Zaczek, *Względy religijne czy zła wola?*, „Wiraze” 1958, nr 45, s. 5.

<sup>9</sup> *Wzgarda wyziera już z ich tytułów* - np. M. Zaremba, *Nieboszczyk w służbie partii*, „Mówią Wieki” 1999, nr 11, s. 30-37; K. Lesiakowski, *Ostatnia droga towarzysza*, „Biuletyn IPN” 2002, nr 5, s. 64-66.

<sup>10</sup> Szerzej A. i J. Borowikowie, op. cit., s. 23, 26, 39, 58-59, 65-67. Beztróski stosunek samorządów gminnych do tego problemu wyraża adresowane do autora pismo zastępcy prezydenta miasta Rzeszowa mgr inż. Marka Ustrobińskiego z 21 maja 2009 r., GK III 7093/17/2009 - jeśli chodzi o kaplice na cmentarzach komunalnych na rzeszowskim prawobrzeżu przy ul. Lwowskiej i ul. Cienistej, prezydent pisze, że korzystają z nich „wszyscy uczestnicy ceremonii pogrzebowych ze względu na wyznanie”, że nikt nie wyrażał obiekcji „dotyczących symboli religijnych” tam usytuowanych, że „w chwili obecnej nie ma możliwości technicznej demontażu lub ukrycia” tych symboli a „po zakończeniu rozbudowy i modernizacji kaplicy zostanie przygotowane pomieszczenie, które może zostać wyposażone w stylu świeckim, aby nie razić uczuć innych wyznań” - zob. też M. Ustrobiński, *Odpowiedzi na pytania Macieja Kijowskiego*, „Echo Rzeszowa” 2009, nr 9, s. 5.

<sup>11</sup> Tak np. P. Korcz, *Ustrońskie cmentarze*, Ustroń 2005, s. 35; podobnie G. Trzaskowska (*Cmentarze wojenne we Wrocławiu w latach 1939-2002*, Wrocław 2009, s. 136) odnosząca swe uwagi do cmentarzy wojennych, eo ipso pozostających pod opieką państwa świeckiego, a więc również takich, na których ekspansja symboliki religijnej jest zbędna.

<sup>12</sup> Zob. J. Stachurska, *Ulepszanie atmosfery*, „Fakty i Mity” 2009, nr 40, s. 6.

Autor, doktor nauk prawnych, jest adiunktem w Zakładzie Prawa Konstytucyjnego Uniwersytetu Rzeszowskiego.

## Sprostowania

W poprzednim numerze naszego czasopisma (nr 1|104,2010) nasza redakcyjna korekta nie dostrzegła błędów, które przestały się do druku.

I tak w tekście prof. Karola MODZELEWSKIEGO *Listu do Uczestników Konferencji* (s. 20) zdanie 6 od dołu i zaczynające się od słów: „Mierzac miarką...” powinno w całości być następujące: „Mierzac miarką owego dziennikarza, młodzi ludzie wkrótce mogą nie dostrzegać różnicy, jaka dzieliła socjaldemokratę z SDKPiL Feliksa Dzierżyńskiego od socjalisty Józefa Piłsudskiego lub komunistę Bolesława Bieruta od socjalisty Kazimierza Pużaka”.

Z kolei w tekście prof. Andrzeja WALICKIEGO *O polskiej rzeczywistości moralnej* (Suplement do tegoż numeru): na s. 25, w. 8 od dołu zamiast słowa „nietykalnych” powinno być „metrykalnych”; na s. 27 w w. 29 od góry słowo „zaburzenie” powinno brzmieć poprawnie „zabużanie”; a na s. 28 wkradły się błędy (w ww. 23 i 24 od góry) w poprawnym brzmieniu nazwisk premiera Rosji Władimira Putina i nazwisku p. redaktor Krystyny Kurczab-Redlich.

Wreszcie jedna literka zniekształciła nazwisko zmarłej Profesor Heleny EILSTEIN, której pamięci poświęciliśmy stosowny nekrolog (s. 57).

Za te wszystkie przykre niedopatrzienia bardzo serdecznie przepraszamy Autorów i Czytelników naszego czasopisma.

Redakcja



---

# O WSPÓŁCZESNYCH PROBLEMACH MORALNYCH: dyskusji ciąg dalszy

---

Dionizy TANALSKI

## Etyka, moralność i siedem „władz duszy”

---

Nauczyciele, etycy i kapłani uważają, że nauczanie moralności jest konieczne, bo bez niego ludzie nie nabyliby potrzebnej wiedzy o wartościach i nie umieliby, lub nie chcieliby postępować moralnie. (Przysłówek „moralnie” odnosi się tu do postępowania nie wedle jakiegokolwiek systemu wartości, wedle jakiegokolwiek bądź moralności, lecz do postępowania według tej moralności, którą etyk lub moralista uznają akurat za słuszną). Za tym rozumowaniem kryje się przesłanka, że ludzie nauczani moralności będą postępować, lub postępują, zgodnie z nią, zaś nie nauczani nie będą wiedzieli, jak postępować – wobec czego postępować będą bez rozeznania dobra i zła, na oślep, raz dobrze, raz źle, częściej źle niż dobrze, a przy tym nie będą świadomi, że postępują dobrze lub źle. Wszakże ten logicznie poprawny wniosek często, jak wiemy, nie sprawdza się w praktyce, bowiem, po pierwsze, ludzie nie zawsze chcą być nauczani, po drugie, nawet jeżeli chcą, to często postępują niezgodnie z przekazywanymi im wartościami i regułami postępowania.

Jest w tym pewien, pozorny raczej, paradoks, który da się łatwo wytłumaczyć, gdy obserwujemy przejście człowieka z wieku dziecięcego w świat dorosłych. Wtedy zaczynamy kierować się w swoim postępowaniu przede wszystkim wiedzą nie tyle nauczaną, co wynikającą z praktycznych życiowych okoliczności, bowiem to **one głównie, a nie zawodowa pedagogika i moralizowanie, decydują o powodzeniu w życiu**. Kiedy jest się zależnym od, na przykład, pracodawcy (silniejszego ekonomicznie i instrumentalnie niż zatrudniany pracownik), a dodatkowo ma się na utrzymaniu rodzinę, i owa zależność jest warunkiem względnie stabilnej i pomyślnej perspektywie egzystencji własnej i rodziny, to wszelkie moralizowanie schodzi przeważnie na plan dalszy. **Rozstrzygają warunki bytowe a nie lekcje i wykłady**. Dobrze, gdy warunki te harmonizują z przestrzeganiem nauczanych norm moralnych. Wtedy i egzystencja jest jakoś zapewniona, i sumienie spokojne. Lecz, jak wiemy, zwykle harmonii tej nie ma, lecz jest konflikt między wymogami bieżących okoliczności a słuszną moralnością.

Nie oskarżałbym łatwo ludzi o hipokryzję, gdy w przymusowych bytowo warunkach odchodzą doraźnie od nauczanej moralności. Wszak przeważnie nie usiłują oni oszukiwać siebie i innych – i my zwykle także nie czujemy się przez nich moralnie oszukani, bowiem

wszyscy znamy reguły życiowej gry i cała rzecz dzieje się przy otwartej kurtynie, wobec przystomnej widowni, która zresztą także w tej grze uczestniczy.

### **Czy za to wszystko odpowiedzialni są etycy i moralisci?**

Gdy nauczają, że krzywdzić i zabijać nie wolno – odpowiedzialni nie są. Gdy zaś uzasadniają owo krzywdzenie i zabijanie – są.

Lecz zagadnienie nie sprowadza się do odpowiedzi powyższej, bowiem pytanie zasadnicze dotyczy kwestii odpowiedzialności i „nieodpowiedzialności” etyków i moralistów w „robieniu” historii.

Słowa „nieodpowiedzialność” użyłem nieco przewrotnie, w każdym razie w dwóch znaczeniach: pierwsze odnosi się do swoistej niefrasobliwości etyków i moralistów, gdy uprawiają swój zawód nie bacząc zbyt na mizerne, a niekiedy okrutne efekty swojej działalności; drugie mówi o tym, że historię i życie codzienne ludzie robią sami nie tyle pod wpływem moralistów, ile pod ciśnieniem bieżących potrzeb lub wykalkulowanych interesów. Etycy i moralisci w tym stopniu, w jakim nie robią historii, nie są za nią odpowiedzialni.

## **1**

Od czasów Monteskiusza i Rousseau dominuje w myśli politycznej kanon trzech władz w państwie demokratycznym: **ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej**. Wcześniej funkcje tych trzech władz pełnił jednocześnie mniej lub bardziej oświecony autokrata świecki (książe, król, cesarz), lub religijny (kapłan, biskup, papież). Współcześnie wymienia się też władzę czwartą – **media informacyjne**, która wprawdzie nie jest sytuowana w państwie konstytucyjnie, lecz swoją rolę panowania nad poglądami i postawami ludzi, a przez to pośrednio i nad trzema władzami pierwszymi, pełni bardzo skutecznie. Wysuwa się więc funkcyjnie na miejsce pierwsze, wskutek czego powstało, nieznanne wcześniej, „społeczeństwo informatyczne”. Lecz i to nie jest pełną listą panteonu władz, bowiem przemożną rolę w życiu współczesnych ludzi, i ciągle chyba rosnącą, grają „władza” piąta – **ekonomiczny rynek** oraz lawinowo rozwijająca się „władza” szósta – **technika**, i to te dwie ostatnie właśnie coraz silniej dominują we współczesnym życiu społecznym, a przez to i w poglądach oraz postawach ludzi. Ciągle też istnieje w różnym stopniu władza **instytucji religijnych**.

Naiwny jest już dziś pogląd, że wymienione „władze” pełnią swoje tylko i wąsko pojęte odrębne zawodowe funkcje, poglądy zaś i postawy moralne ludzi kształtują tylko zawodowi nauczyciele, wychowawcy, etycy, kapłani; w rzeczywistości jednak wszystkie te „władze”, mimo swych zawodowych odrębności, pełnią też swoisty „rząd dusz”. Ogólne świadome zarysy swojej aksjologicznej pedagogiki mają władze ustawodawcze, sądownicze i wykonawcze oraz media, nie mają jej zaś ani ekonomiczny rynek, ani technopol, choć ich wpływ na ludzkie „dusze”, czyli poglądy i postawy ludzi, jest bardzo silny, coraz silniejszy – i przezważnie wygrywający w starciu z wpływem „władz” pozostałych.

Wprawdzie nie chciał być w XVI wieku „królem sumień” obywateli władca państwa polskiego król Zygmunt II August; w końcu wieku XIX Kościół rzymskokatolicki deklaratywnie zrezygnował z władzy nad „sprawami ziemskimi”, pozostawił sobie tylko „władzę dusz” a władzę nad „sprawami ziemskimi” przyznał państwu – lecz i deklaracja króla, i podział władz na „ziemskie” i „duchowe” nie unicestwiły przecież rzeczywistego wpływu króla i państwa na poglądy moralne i postawy ludzi, a Kościoły nie zrezygnowały, odpowiednio do swych sił, z „władzy ziemskiej”.

**Gdy obserwuje się siłę pedagogiczną wymienionych „władz” i ich wpływ na kształtowanie się moralnych poglądów i postaw ludzi, to trzeba by uszeregować je tak: 1. ekonomiczny rynek, 2. technopol, 3. media, 4. instytucje prawodawcze, 5. wymiar sprawiedliwości, 6. instytucje wykonawcze państwa, 7. instytucje wychowawcze religijne i świeckie\*.**

Największy wpływ na moralną kulturę ludzi mają dwie pierwsze „władze”, przy czym w duecie owym pierwsze gra rynek, który decyduje, co ma robić technika, a wraz z nią i nauka. Duet ten podporządkowuje sobie poważne (coraz poważniejsze?) obszary nauki

i rządzi światem coraz bardziej, często wbrew powszechnie przyjmowanemu, przynajmniej deklaratywnie, kanonowi wartości: „nie zabijaj!”, „nie krzywdź!”, „nie mów fałszywego świadectwa!”, „czyn dobro!”... itd. Duet ten karmi, odziewa, buduje, łoży na kulturę; ale i zabija, i krzywdzi, i oczernia...! Jest w konflikcie z owym kanonem, choć rzecznicy tego duetu potrafią usprawiedliwić nim wszystko.

Najdalej od podstawowego kanonu wartości znajduje się rynkowy sektor militariów, który produkcją narzędzi zabijania napędza też liczne dziedziny nauki oraz inne sektory rynku dostarczające mu swoje produkty. Po zabiciu, zburzeniu, wygłodzeniu, skażeniu i zarażeniu chorobami trzeba bowiem odbudować, nakarmić, oczyścić i leczyć – a to też zadanie rynku.

Wprawdzie istnieją etyki zawodowe, między innymi etyka biznesu, lecz nie widać ja-koś, aby to ona władała rynkiem zgodnie z jej najważniejszymi wartościami i hamowała, na przykład, produkcję zbrojeniową. Rynek jest z natury odporny na władzę etyki, jego istnienie bowiem zależy od autonomicznego działania ekonomicznych samoregulatorów, a nie od woli etyków i nauczycieli moralności.

Rynek, i technopol nie są wynalzcami obłudy i zła. Mają świetnych protoplastów. Lud moźszeszowy po zdobyciu miasta Haj zabił 12 tysięcy ludzi, z kolei Filistyni zabili ponad 30 tysięcy bojowników ludu Jahwe. W pierwszej krucjacie krzyżowcy zabili 20 milionów ludzi, w krzyżowej krucjacie dzieci zginęły wszystkie – 40 tysięcy. A krucjat było osiem. W latach 1478-1810 inkwizycja hiszpańska w imię wartości skazała na spalenie blisko 32 tysiące osób (różne źródła podają różne wielkości). Historycy obliczają, że w zwalczaniu „czarownic” zabito w imię wartości i zasad od 1 do 9 milionów kobiet. W kolonizowanej Ameryce w ciągu 40 lat uśmiercono od 12 do 15 milionów rodzimych mieszkańców. W ciągu 6 tysięcy lat urządziliśmy sobie ponad 10 tysięcy wojen (niektórzy historycy podają liczbę 14513 wojen). W stuleciach XVII–XX w wojnach europejskich zginęło około 92 milionów ludzi, a w samym wieku XX, według przybliżonych szacunków, zabito w wojnach na świecie 187 milionów osób. (Oczywiście, dane te nie są dokładne, lecz jednak, nawet mimo ewentualnych korekt w jedną lub drugą stronę, dostatecznie wymowne). Podzieliliśmy sobie wojny na „niesprawiedliwe” i „sprawiedliwe”, a niszczące i zabijające naloty NATO na Jugosławię nazwano „wojną higieniczną” i „humanitarną”, w której, poza uzbrojonymi bojownikami, zginęło, „higienicznie” zapewne i w celach „humanitarnych”, od 2 do 5 tysięcy cywilnych osób. W imię wartości zanesiono wojnę do Iraku i Afganistanu... (Nawiasem mówiąc, w starciach zbrojnych ginie proporcjonalnie coraz więcej cywilów, uzbrojeni bojownicy bowiem są zwykle lepiej przygotowani do obrony, niż ludność cywilna – mogą więc sobie względnie bezpiecznie, „higienicznie” wojować). Szlachetni politycy, znakomici dowódcy wojskowi i ci wspaniali mężczyźni w swoich latających maszynach nie muszą, dzięki wspaniałej technice, zbliżać się nawet na odległość wzrokową do wyznaczonych celów i nie muszą się obmywać z wojennej krwi i brudu zniszczeń. Wykonują regulaminowo swoje zadanie, potem zaś otrzymują, również według troskliwego regulaminu, odpowiednio skomponowany posiłek i korzystają z regulaminowego odpoczynku, by w odpowiedniej porze, syci i higienicznie wypoczęci, znów mogli wykonać kolejne zadanie regulaminowego zabijania. Współczesne maszyny, wymyślane i konstruowane przez wspaniałych mężczyzn, których przecież nauczano o wartościach i normach moralnych, dbają o fizyczną i moralną „higienę” tych wspaniałych mężczyzn celujących i zabijających, a także „higienę” polityków polecających celować (i „przy okazji, niestety” zabijać)! Potem się szlachetnie współczuje.

**Etycy i moralści dostrzegają konflikt między deklarowanym kanonem wartości a praktyką i odczytują go jako apel i bodziec do upartego tradycyjnego nauczania w przekonaniu, że nauczanie owo spowoduje zmianę postępowania ludzi bez względu na warunki, w jakich żyją. I nauczają! Od wieków! A im większa jest przepaść między wartościami i normami a rzeczywistością – tym nauczają zajadlej. Z różnym skutkiem**

\* W państwach słabo rozwiniętych ekonomicznie a z dominującym islamem instytucje p. 7 trzeba by umieścić na miejscu 1 lub 2.

– **pozytywnym, mizernym, a czasami tragicznym! Także i dla moralizatorów.** Sokrates został skazany na śmierć, Konfucjusz w drugim okresie swojego życia utracił poparcie możnych a jego dzieła nakazano spalić, Jezusa ukrzyżowano, Savonarola został spalony, Skargę okrzyczano wicherzycielem, Luter musiał się ukrywać, do Jana Pawła II strzelano. Niektórym wprawdzie się udało: Mojżesz, Jezus, Mahomet, Budda powołali do życia wielkie systemy filozoficzno-religijne (choć Jezus przypłacił to życiem), lecz zwycięstwa te, nawet okupione śmiercią, nie zlikwidowały rozdziewików między nauczaną moralnością a życiem codziennym. Wielcy nauczyciele i moralisci zawsze są przedmiotem uważnego obserwowania przez tzw. opinię publiczną i przez władze. Gdy konflikt między potrzebami i interesami ludzi lub władz a nauczaną moralnością jest wielki, gdy moralisci z pasją i bezwzględnie głoszą swój moralny radykalizm i wyraźnie psują szyki zainteresowanym, szybko zostają „przywołani do porządku”. Zresztą i sami nauczyciele-moralisci nie byli i nie są bez winy: gdy tylko osiągnęli możliwość decydowania o losie i życiu ludzi, bywało, że egzekwowali swoje nauki i swoją wolę nawet przemocą i zabijaniem.

## 2

Czy to znaczy, że uprawianie etyki i moralizowanie jest w ogóle niepotrzebne?

Myślę, że etycy mogą i będą uprawiać czcigodną akademicką etykę tak długo, jak długo rynek zechce im za to płacić. Lecz nawet najlepsza dla etyków i moralistów perspektywa nauczania nie podważa, moim zdaniem, tezy, że **za kulturę moralną społeczeństw odpowiedzialność główną ponoszą ludzie interesu, czyli ci wszyscy, którzy mają najsilniejszy, decydujący wpływ na losy indywidualne i społeczne ludzi,**

Dominuje tradycyjne przekonanie, że nauczanie i wychowywanie musi odbywać się w oddzielnym procesie pedagogicznym przez oddzielnie pracujących w swoich dziedzinach nauczania nauczycieli i pedagogów, w oddzielnych „przedmiotach nauczania”, wśród których „przedmiotem” także jest etyka nauczana osobno przez etyków. I „przedmiot” ten lokuje się, według swoistej logiki, przeważnie w programach nauczania humanistycznego, czyli tam, gdzie kształcą się ludzie, których wpływ na nasze życiowe sytuacje jest przeważnie pośredni i w ogóle słaby, w każdym razie znacznie słabszy, niż wpływ rynku, technopolu i mediów. Adeptom i działaczom tych sfer społecznych etykę podaje się – jeśli w ogóle się podaje – jako przedmiot nie podstawowy, lecz uboczny, dodatkowy, w niewielkim wymiarze godzin, bowiem przecież ich zadaniem nie ma być wychowywanie, lecz produkowanie, zarządzanie, informacja, działalność polityczna itp. – a te dziedziny nie mają, według obiegowych poglądów, z etyką nic wspólnego. „Przedmiot” ten nie jest im, rzekomo, potrzebny w ich zawodach.

**W takim systemie „produkuje się” wykształconych humanistów, znających i rozumiejących etykę, którzy wszakże w minimalnym stopniu determinują nasze życiowe okoliczności, oraz coraz liczniejsze rzesze ekonomistów, techników, dziennikarzy i polityków, którzy właśnie nasze życie kształtują w stopniu decydującym, lecz którzy są przeważnie, niestety, kulturologicznymi analfabetami nie rozumiejącymi, że to oni właśnie decydują w stopniu przemożnym o życiowych bodźcach kształtujących katalogi wartości jednostek i społeczeństw.** Politycy i dziennikarze, którzy odbyli studia politologiczne, socjologiczne czy historyczne, wiedzą co nieco o mechanizmach kształtowania się ludzkich postaw i myślenia (bo tam przeważnie uwzględnia się w programach nauczania „przedmioty” takie jak psychologia, etyka), lecz są oni tak uwikłani w realia ekonomiczne i „gry” swoich zawodów, że efekty owego humanistycznego nauczania pozostawiają gdzieś w dalekim tle swojej działalności. Dla zamazania ewentualnych wyrzutów sumienia, politycy ukuli nawet wygodny dla siebie, zgrabny a nieprawdziwy, aforyzm: „polityka nie ma nic wspólnego z moralnością”!

### **Co powinni więc robić etycy i moralisci?**

Powinni przede wszystkim uświadamiać ludziom, że głównymi wychowawcami i nauczycielami wartości i norm moralnych są decydenci rynku, technopolu, informacji, a w

dalszej kolejności sędziowie, parlamentarzyści i działacze administracji państwowej i publicznej i że to oni, a nie etycy i moralisci, ponoszą główną odpowiedzialność za naszą ludzką moralność.

Jaki wniosek wynika z powyższej tezy? - Taki mianowicie, że **nauczanie wartości i norm moralnych dotyczyć powinno przede wszystkim** (obok nauczania dzieci – co zresztą przeważnie nie rozstrzyga z góry o ich „dorosłej” moralności) **tych osób, które najsilniej decydują i będą decydować o najważniejszych sprawach naszego życia, oraz tych nauczycieli, którzy kształcą i będą kształcić osoby aktywne w sześciu wyżej wymienionych „władzach”**. I nauczanie to nie powinno odbywać się tylko, jak dotąd, za pośrednictwem oddzielnych przedmiotów nauczania – jak to tradycyjnie bywa, lecz wkomponowane być powinno we wszystkie podstawowe zawodowe przedmioty nauczania jako ich integralna problematyka. I nie o samo wkuwanie wiedzy o wartościach i normach moralnych tu idzie, lecz przede wszystkim o nauczanie osób, które będą lub są aktywne w owych „władzach”, dostrzegania ich decydującej roli w determinowaniu ludzkich losów oraz funkcji moralnej (kulturotwórczej) ich zawodowej działalności. Te bowiem rodzaje działalności ludzi – a nie tradycyjna szkolna pedagogika – wywierają najsilniejszy wpływ na kształtowanie systemów wartości, norm moralnych, na ludzki los i na ludzkie postępowanie.

Wymaga to istotnej reformy kształcenia nauczycieli przedmiotów tak zwanych niehumanistycznych na wszystkich szczeblach kształcenia i wychowania. **Nauczyciele ci bowiem muszą być świadomi kulturotwórczych i moralnych skutków ludzkich działań w sferach gospodarki, techniki, informacji, polityki – i świadomość tę muszą umieć przekazać swoim uczniom i studentom! Bez takiej wiedzy i bez świadomości swojej misji wychowawczej nawet najdoskonalsi w swoich dziedzinach uczeni i fachowcy będą nadal, tradycyjnie, kształcić nowe kolejne pokolenia doskonałych nawet uczonych i fachowców – lecz zarazem analfabetów pod względem rozumienia ich funkcji kulturotwórczych.** A więc – nie można tego niestety wykluczyć – także szkodników i konstruktorów technik krzywdzenia i zabijania. Nich mi zainteresowani tzw. zawodowi niehumanisci wybaczą, lecz ciśnie się tu obrazek przysłowiowej małpy z brzytwą, której używa ona nieświadomie źle.

**Wymaga to też zmiany nauczania humanistów-etyków. Muszą oni otrzymać elementarną choćby wiedzę o teoriach i realnych mechanizmach ekonomicznego rynku, technopolu i mediów – inaczej bowiem nie będą umieli przekazać adeptom „władz” wiedzy o kulturotwórczych i moralnych skutkach ich przyszłych (i aktualnych) zawodowych działań.**

Jestem o tyle utopistą, o ile decyzje o sposobach wychowania i kształcenia fachowców nie należą, w społecznej organizacji władzy, do etyków i moralistów i dopóki twórczość, dyskusje i apele etyków i filozofów odbywać się będą w ich własnym gronie, bez wpływu na decyzje o kształcie oświaty i studiowania. **Dopóki bowiem etycy będą przemawiać do etyków, a ekonomiści do ekonomistów, technicy do techników, a politycy do polityków, dopóki humanistykę uprawiać będziemy tylko lub głównie pośród „humanistów” i adeptów humanistyki, dopóki wreszcie wiedzę etyczną i świadomość moralną krzewić będziemy w oddzielnych przedmiotach nauczania głównie na studiach humanistycznych – czyli dopóki, w istocie, będziemy przekonywać sami siebie o słuszności naszych słusznych poglądów, a „niehumanistów” pozostawimy w spokoju w ich zakłętym kręgu galopujących rynku i techniki – dopóty będziemy się kręcić w kółko w błogim przekonaniu, że mamy szlachetną rację uprawiając naszą akademicką etykę i nauczając moralności tam, gdzie efekty tej działalności są akurat społecznie najślabsze, zaś tam, gdzie świadomość etyczna i nauczanie moralności są bezwzględnie konieczne – będziemy nieobecni.**

**I nieodpowiedzialni!**



# Wacław SADKOWSKI

## Syndrom *katopolo*

### Glosa do dyskusji o stanie moralnym społeczeństwa

Przysłuchiwałem się uważnie dyskusji o stanie moralnym społeczeństwa, zorganizowanej m.in. przez Redakcję „Res Humana” w listopadzie ub.r., zainaugurowanej ważką wypowiedzią prof. Andrzeja Walickiego. Debata owa skupiła się na rozpoznaniu zgroźliwych następstw, które pociąga za sobą zdżyczenie obyczajowości politycznej, jakie od dwóch dekad obserwujemy, rewanżyzm i triumfalizm czołowych sił decydujących o klimacie współżycia społecznego w III Rzeczypospolitej. Chciałbym zgłosić do tej debaty – z konieczności ograniczonej do kilku godzin – pewne sugestie uzupełniające, jakie nasuwają się obserwatorowi przypatrującemu się tym zjawiskom przez pryzmat literackich analiz i osądów.

Otóż, w swych błyskotliwych i uderzających dociekliwością analityczną książkach (na szczęście już dostrzeżonych – autor znalazł się w gronie finalistów wysuniętych do nagrody Nike) młody pisarz Ignacy Karpowicz wprowadził w użytek publiczny kapitalne określenie typowej postawy ideowo-moralnej przeciętnego Polaka z przełomu XX i XXI – *katopolo*, oczywiście nawiązujące do znanego szeroko określenia *discopolo*. Przywołuję to określenie jako nad wyraz trafne, z wdzięcznością dla jego twórcy, ale nadaję mu treść, za którą już Karpowicz odpowiadać nie musi. W tej mojej wykładni na syndrom *katopolo* składają się trzy elementy. Pierwszym z nich jest bezrefleksyjny model katolicyzmu obrzędowego, panujący w Polsce od stuleci. Drugim – nacjocentryzm, będący pochodną również prowadzonej od stuleci indoktrynacji, wmawiającej ludziom, iż naród polski jest „przedmurzem chrześcijaństwa”, „Chrystusem narodów”, a następnie nowszej, realizowanej w PRL równie agresywnej indoktrynacji głoszącej, iż tzw. lud jest prawdziwą „solą ziemi”. W końcowym ćwierćwieczu XX. stulecia tezę tę obrócono przeciw jej pierwotnym głosicielom, a właściwie zastąpiono dążeniami do upodmiotowienia owego ludu, jako „siły przewodniej” w demokratycznym modelu polityczno-społecznym. Trzecią częścią składową syndromu *katopolo* są dziedziczne obciążenia narodowe tym co nazywam „genami pańszczyźnianymi”; pięćset lat pańszczyźnianego ucisku wytworzyło postawę biernego, samoobronnego oporu przeciw przeciążeniu pracą nieprzynoszącą ludziom ani osobistego pożytku ani osobistej satysfakcji wykonującym, podobnie jak w przeszłości, przymusową pracę niewolniczą. Ludzie ci stanowili w końcu XVII wieku 70 procent ludności „Korony i Litwy”, a w najszlachetniejszym i w najwyższej wysublimowanym, kodyfikatorskim wykładzie myśli obywatelskiej owego czasu, w Konstytucji 3 Maja nie ma nawet wzmianki o „stanie wieśniaczym”. W oficjalnej doktrynie politycznej PRL wprowadzono dowartościowywano słownie lud pracujący ponad miarę, ale między ową doktryną a praktyką gospodarczą i polityczną istniał głęboki rozziw.

Jeśli przez pryzmat tego syndromu *katopolo* przyjrzymy się obyczajowości publicznej panującej u nas niemal niepodzielnie, to zrozumiemy bezsens różnych doraźnych politycznych prób „wydłużania historycznej perspektywy widzenia”. Przeżyłem już kilka takich prób zakłamywania historii polityczną frazeologią; młodość upłynęła mi pod znakiem „rozprawy z ponurym dziedzictwem sanacji”, początek wieku dojrzałego – pod znakiem „naprawiania błędów i wypaczeń” doby stalinizmu – i tak dalej. Rozstawaliśmy się ze stagnacją „naszej małej stabilizacji”, hochsztaplerką „propagandy sukcesu”, a ostatnio demagogdy nie mogą doliczyć się Rzeczypospolitych (choć starca do tego palców jednej dłoni) i uprawiają wręcz obsesyjną podejrzliwość wobec „układów”. Tymczasem perspek-

tywę widzenia procesu formowania się swoistego „genotypu Polaka” trzeba wydłużyć o lat przynajmniej pięćset.

**I wtedy dopiero rozumiałe staje się to, co inny pisarz współczesny – nieżyjący już nestor XX-wiecznego piarstwa polskiego, Teodor Parnicki, scharakteryzował formułą „nie wolno, ale można”. Jest to ów „pragmatyczny permisywizm” sankcjonowany przez Kościół: na akt skrucy w chwili spowiedzi zdobyć się łatwo, a „dobra wola poprawy” jest nie do skontrolowania. W praktyce powszedniej grzesznik popełnia swe grzechy notorycznie i równie notorycznie bywa z nich rozgrzeszany. A jeśli dodać do tej praktyki „nieżyciowy” charakter wielu kościelnych norm etycznych np. w sprawie niedopuszczalności rozwodów, nie zawsze egzekwowanych (na wspomnianej na wstępie konferencji dowiedziałem się, że Kościół katolicki w Polsce godzi się na „unieważnienie” dziesięciu tysięcy związków małżeńskich rocznie – co przywodzi na myśl „dziewice konsystorskie Boya Żeleńskiego) oraz tolerancyjność tegoż Kościoła wobec alkoholizmu (gdzie mu się równać z pryncypiami islamistów) rozumiała staje się nie tylko hipokryzja, ale dość powszechna schizofrenia, o której mówił Teodora Parnicki. Ludzie wiedzą, że czegoś „nie wolno”, ale w praktyce przekonują się, że jednak „wolno” jakieś czyny popełniać, ulegać „słabostkom” zwłaszcza w imię dobrych stosunków z bliźnimi.**

Prof. Szyszkowska i prof. Wiatr mówili na wspomnianej konferencji o konformizmie i karierowiczostwie; tu również przychodzi mi na myśl formuła językowa najtrafniej nazywająca taką postawę: stworzona przez Melchiora Wańkowicza (w polemice z „obrońcami godności Ojczyzny”, jaką toczył we wczesnym okresie swego emigracyjnego działania) nazwa „kundlizm”.

Wezwanie „Kupą, mości panowie, kupą” – jeszcze Sienkiewiczowskie – a w każdym razie przez autora *Trylogii* utrwalone – przychodzi na myśl, kiedy obserwuje się różne „kampanie”, także „niestety”, kampanie prasowe, w których „ani prawa ważą, ani sprawiedliwość ma miejsce”.

O stosunku do pracy – będącym prostym przedłużeniem zachowań poddanych pańszczyźnianych – jak najmniejszy wysiłek „na pańskim”, jak najwięcej świętowania – nie ma już co mówić. Podobnie jak o wypaczonym pojmowaniu wolności jako wyłącznie swobody osobistej, nieograniczonej żadnymi względami społecznymi, co oczywiście anarchizuje współzycie ludzi.

Co najważniejsze jednak, wszystkie te grzechy główne społecznej mentalności stanowią świętą pożywkę dla kolejnych inicjatyw „uzdrowicielsko-sanacyjnych” podejmowanych przez rzeczników instynktu państwowego, nie poczuciu obywatelskiej współodpowiedzialności, bo to inicjatywy generujące najwyżej zbiorowe psychozy.

Chciałoby się na zakończenie tych wypominków nie tyle strawestować, ile wykorzystać jako wielki pytajnik tytuł studium nieodżałowanej pamięci profesora Bogdana Suchodolskiego, napisanego w latach II wojny światowej i wydanego konspiracyjnie (pod pseudonimem Bolesława Jadźwiny): *Skąd i dokąd idziemy?*

---

Autor jest wybitnym krytykiem literackim; przez wiele lat redaktorem naczelnym „Literatury na Świecie”; obecnie członkiem zespołu naszej Redakcji i wiceprezesem Polskiego Oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej.



# Adam KĘDZIERAWSKI

## Niepokoje i nadzieje moralne

W dyskusji pojawił się problem różnorodnej oceny wpływu zmian cywilizacyjnych na świecie i w Polsce na stan świadomości moralnej ludzi, jej różnych kręgów społecznych. Oceny zachowań moralnych na przestrzeni historii opisanej były zawsze subiektywnie dwuwartościowe z akcentami katastrofizmu z jednej strony i liberalnego postrzegania toczącego się życia.

Relacje międzyludzkie regulowane są z jednej strony przez skodyfikowane normy prawne, jak się okazuje bardzo często łamane w praktyce codzienności, a z drugiej strony przez rodzaje się z tej praktyki społecznej wartości moralno-obyczajowe przybierające postać kodeksów moralnych. Zachodzi pytanie o wartość regulacyjną tych mechanizmów, bardziej lub mniej uwewnętrzzonych przez ludzi. Nie podlega dyskusji większa wartość norm moralnych, ich skuteczność, które w codzienności są bliższe człowiekowi niż normy prawne. Życie człowieka byłoby koszmarem gdybyśmy chcieli je zamknąć w ciasne normy prawne.

Dyskusja nad aktualnym stanem moralnym społeczeństwa powinna być bardziej skonkretyzowana, ponieważ konstatacje, czasem kategoryczne mogą mijać się z prawdą.

Rodzina i szkoła jest na pierwszym miejscu w przekazywaniu dziecku wartości moralnych i ich stosowania. Ekonomiczna sytuacja rodziny (bezrobocie) czyni ją wychowawczo nieskuteczną. Szkoła dzisiejsza po przeprowadzonej reformie (utworzenie gimnazjum i skrócenie liceum) nie jest wychowawczo skuteczna. Nauczyciel czuje się pozbawiony wpływu wychowawczego na powierzoną mu młodzież. Tu trzeba stwierdzić bezspornie spiętrzenie się trudności wychowawczych na poziomie gimnazjum. Pamiętać trzeba o najtrudniejszym w życiu młodego człowieka okresie rozwojowym. Przy braku etyki i przygotowania do życia w rodzinie, cały proces wychowawczy jest nieskuteczny. Osobną sprawą jest „reforma” podręcznikowa. Kosztowna dla rodziców tych niezamożnych a nauczyciela wciągająca w marketing handlowo-kupiecki. Zapowiadana dalsza reforma na poziomie liceum ograniczy jeszcze bardziej poziom wykształcenia ogólnego.

Obserwuje się w społeczeństwie niezadowolenie z pracy lekarzy, nauczycieli i prawników, a wręcz mówi się o patologii tych bardzo ważnych społecznie zawodów. Media o tym szeroko informują. Są to głębokie rysy w grupie zawodów o szczególnej społecznej wartości. Do autorytetów moralnych pretendują również politycy i parlamentarzyści. Jest ich znaczący nadmiar. Państwo jest zbyt drogie dla obywatela. Ludzie nie chcą takiego sposobu sprawowania władzy, gdzie są podsłuchiwani, poddawani prowokacjom do niecnych zachowań, okłamywani, posądzani, osadzani w więzieniach, stale inwigilowani, korumpowani. Niepokoją również media wyplukane z wartości humanistycznych, podkreślające stany społecznego napięcia, odarte z wzorów osobowych o ciepłych tendencjach empatycznych.

Nie ma zgody ludzi uczciwych na zawłaszczanie wartości moralnych i narodowych i traktowanie przedmiotów kultu religijnego jako narzędzia walki politycznej. Uciążliwa się staje egzystująca na różnych obszarach agresja w walce o władzę. Przeżywamy w Polsce regres autorytetów jednostkowych, a także instytucjonalnych. Potwierdzeniem braku autorytetów jednostkowych są sondaże ukazujące poszukiwanie kandydatów do fotelu prezydenckiego. Coraz trudniej o wskazanie ludzi o autentycznym autorytecie w gronie parlamentarzystów. Aktualny sposób sprawowania władzy i tocząca boje o przejęcie władzy, zasmucają myśleniem o przyszłości życia społecznego w kraju. Dyskusje dziennikarzy są w większości stratą czasu dla coraz

większej grupy ludzi oglądających np. telewizję. Po odejściu prof. Barbary Skargi będzie trudno wskazać na osobę wielkiego autorytetu intelektualno-moralnego. A co możemy powiedzieć o autorytetach instytucjonalnych budujących moralną tkankę życia społecznego?

Choć jest to mała instytucja to trzeba ją uznać za wiodącą w procesie wyposażania jednostki ludzkiej w wartości moralne – jest to rodzina. Ideałem jest rodzina pełna, dwojga kochających się małżonków, dla których dzieci są spoiwem o najwyższej wartości. Od wielu czynników zależy skuteczność wychowawcza rodziny.

Daleko do ideału w realizacji programu „przygotowanie do życia w rodzinie”, co objawia się przypadkowymi, koniecznymi związkami ludzi nieprzygotowanych do funkcji rodzicielskich, często pozbawionych zabezpieczenia materialnego. Niezbędnego dla trwałości rodziny. Trzeba rodzinę młodą otoczyć opieką i wszelkimi środkami chronić ją przed rozpadem.

Szkoła jako druga społeczna instytucja wychowawcza i kształcąca nie wywiązuje się z podejmowanych programowo zadań. Brak nam szkoły programowo stabilnej, wolnej od permanentnych reform. Dziś wszyscy wiedzą, że wyodrębnienie gimnazjum i skrócenie liceum o jeden rok, to były błędne decyzje. Obecnie PiS zapowiada, że po swoim zwycięstwie przywróci liceum czteroletnie. Mamy dyskusję o nałożeniu obowiązku szkolnego na sześciolatków i ograniczenie kształcenia ogólnego w pierwszej klasie liceum, a kl. II i III mają realizować specjalizacje przedmiotowe. Wiele niedostatków pozostawia stan współpracy rodziny i szkoły, a także psychologiczno-pedagogiczne kształcenie kandydatów do pracy z dziećmi i młodzieżą.

Ograniczenie uczestnictwa dzieci i młodzieży w kulturze, regres czytelnictwa, magia gier komputerowych, internet dla znacznej części społeczności uczniowskiej objawia się dewastacją intelektualno-moralną.

Powszechnie panuje przekonanie, że instytucją mającą największy wpływ na poziom moralnej kondycji społeczeństwa ma Kościół. Czy rzeczywistość to potwierdza? Zwróćmy uwagę na praktyki odnotowane w Ruchu Rodzin Nazaretańskich, wystąpienia ze zgromadzeń zakonnych, odejścia ze służby kapłańskiej, spadek powołań kapłańskich, spadek uczestnictwa szczególnie ludzi młodych w nabożeństwach, kłopoty z celibatem. Kościół ma wielkie możliwości instytucjonalne-kadrowe do uobecnienia się w środowiskach swego terytorialnego działania. Myślę, że w przyszłości Kościół nabierze przekonania o potrzebie zmiany metod oddziaływania, posługiwanie się autorytetem rozumu a nie presją autorytetu dogmatów. Mądrość moralna wymaga innej retoryki. Są wartości „boskie”, które mogą zmienić relacje między ludźmi. Według mnie dobro, prawda, miłość, honor, godność, cnota, spokój sumienia, życzliwość, wrażliwość, roztropność, umiar mogą ubogacać człowieka. To są wielkie słowa – ale muszą być potwierdzane przez czyny.

Na władzy administracyjno-politycznej ciąży obowiązek budowania rzeczywistości z bardziej ludzką twarzą. Dzisiejsza rzeczywistość jest daleka od tego „luksusu”. Centralne organy władzy wraz z instytucjami zabezpieczającymi ich funkcjonowanie, absurdalnie rozbudowane kadrowo, oderwały się od ludzi (wyborców). Pozorują troskę o swoich obywateli. Nie są skłonne do generowania praw, które zabezpieczałyby podstawowe prawa obywatelskie; dostęp do nauki, kultury, troski o zdrowie i prawo do pracy. Gdzie szukać panaceum dla przełamania tego bądź co bądź niepokojącego stanu? Odpowiadam:

- w reformie prawa wyborczego (ordynacja),
- w zmianach w centralnych organach władzy (sejm, senat, rząd, prezydent),
- w zmianie w instytucjach zabezpieczających funkcjonowanie państwa,
- w oparciu funkcjonowania państwa o wartości racjonalne (autorytety rozumu),
- w większej trosce o zdrowie i wykształcenie obywateli, a także o kulturę i pracę,
- wychowania człowieka na mocnej ekonomicznie rodzinie, dobrze zorganizowanym szkolnictwie (w miarę stabilnych programach, funkcjonujące jednocześnie w dostępnych mediach).

---

Autor jest pedagogiem, długoletnim nauczycielem i pracownikiem administracji szkolnej na Ziemi Lubelskiej.

# Z DZIEDZICTWA KAROLA DARWINA

Andrzej GECOW

## Schodki czy ewolucje – emocje w biologii

Choć minął rok ogłoszony Rokiem Karola Darwina – 200. rocznica jego urodzin i 150. rocznica wydania jego dzieła „O POWSTAWANIU GATUNKÓW DROGĄ DOBORU NATURALNEGO”, które dało początek teorii ewolucji – dziedzictwo Darwina wciąż budzi zainteresowanie, wciąż zachęca do dyskusji i sporów.

Taka dyskusja miała miejsce na forum ubiegłorocznej, zorganizowanej przez Polskie Stowarzyszenie Racjonalistów, konferencji naukowej zatytułowanej EWOLUCJA – INŻYNIER NATURY.

Poniżej drukujemy dwa teksty, którymi ich Autorzy – Andrzej GECOW i Marian Piotr JAN-KOWSKI – zechcieli podzielić się z czytelnikami naszego czasopisma.

Redakcja

Dziedziny wiedzy przyrodniczej mają swoją specyfikę wynikającą z natury badanego przedmiotu, głównie możliwości jego badania i opisu. Jestem fizykiem, bo ten sposób opisu podobał mi się najbardziej, mimo że ciekawiła mnie zawsze biologia, a w niej jej podstawa – ewolucja i jej podstawowe mechanizmy. Opis stosowany w fizyce to ścisła matematyka, o klarownych regułach, dążący do wielkich spójnych teorii sprowadzających ogrom zjawisk do kilku założeń i reguł. Ideałem jest teoria aksjomatyczna jak geometria. Powszechnie spotyka się marzenia o sprowadzeniu biologii do takiego stanu, ale przedmiot badań biologii nie jest już tak wygodny do ścisłego opisu. W przeciwieństwie do fizyki, w biologii występuje ogromna liczba czynników o zbliżonej sile oddziaływania i prosty zabieg typowo stosowany

w fizyce i technice zaniedbania czynników drugorzędnych by prosto opisać zjawisko daje albo słabą zgodność z obserwacją, albo tak wiele uwzględnionych jednak czynników, że niemal każdą obserwację daje się wyjaśnić. Sytuację w biologii pogarsza fakt, że zjawiska ewolucyjne są efektem statystycznym a decyzje na rozdrożach często są wynikiem przypadku – fluktuacji statystycznych czy po prostu bardzo mało prawdopodobnych zdarzeń. W tych warunkach nawet wykazanie, że inna decyzja jest znacznie bardziej prawdopodobna nie dowodzi, że powstanie jakiejś cechy nie mogło zdarzyć się drogą mniej prawdopodobną. Nie jest jednak tak źle, można poszukiwać mechanizmów i obserwować prawidłowości. Jednak tu także znalezienie przypadku nie spełniającego prawidłowości nie falsyfikuje jej.



Mechanizmy potrzebują uznanych założeń a wiele prawidłowości nie daje się oszacować liczbowo i pozostaje w zakresie ocen intuicyjnych i uznaniowych.

Powszechnie obserwowana celowość budowy organizmów żywych i ich części takich jak przysłowiowe oko, daje się łatwo wyjaśnić prostym mechanizmem jej powstania – stworzył to inteligentny Bóg. Nas także, ale my jesteśmy wyjątkowi, bo to my, i ewidentnie ludzie są bardziej inteligentni (potrafimy tworzyć bardziej złożone celowe konstrukcje) od reszty świata ożywionego, więc jesteśmy na obraz i podobieństwo wielkiego inteligentnego Stwórcy. Prostota i spójność tego wyjaśnienia stanowiła zasadniczą, dostępną każdemu, „dotykalną” podstawę światopoglądową. Po związaniu tego wyjaśnienia z moralnością dobrego a nawet poświęceniem się za nas przez Boga, całość otrzymała nie tylko rozumową, ale i moralno-emocjonalną siłę.

Jednak dla umysłów bardziej dociekliwych, zaprawionych w wyjaśnianiu zjawisk mniej powiązanych emocjonalnie z konkretnym wyjaśnieniem, stawało się jasne, że takie wyjaśnienie jest zbyt uniwersalne i w zasadzie nic nie tłumaczy, a nawet odwodzi od prób racjonalnego wyjaśniania. Drabina stworzonych jestestw intrygowała wskazując kierunek, a skamieniałości i geologia wymagały korekty pojedynczego stworzenia – trzeba było przyjąć wiele aktów stwórczych, co stwierdził CUVIER w swej teorii katastrof. Gorzej, wyglądało na to, że Bóg robi to coraz lepiej nie od razu stwarzając najwyższe szczeble drabiny.

Cuvier ratował stare założenia mechanizmu powstania tego, co obserwujemy, ale alternatywa była coraz lepiej widoczna w coraz większej liczbie poznanych gatunków, których granice były coraz trudniejsze do wyznaczenia. LAMARCK odważył się postawić poważnie tą rewolucyjną alternatywę – ewolucję, ale musiał przeciwstawić się całemu spójnemu systemowi. Jego teoria musiała być równie spójna, by nowe założenia mogły być uznane, więc oprócz zasadniczej tezy, że wszystko co żyje powstało stopniowo, ewolucyjnie, jedno z drugiego, a nie w jednym lub nawet w kilku aktach stworzenia, musiał wskazać mechanizm tej ewolucji

przede wszystkim wyjaśniający obserwowaną adaptacyjną celowość oraz wiele szczegółów, które teraz nabierały znaczenia, a na razie nie były znane.

To mu się jakby nie udało, za dużo wymagało od jednego człowieka. Co prawda taką zupełną teorię przedstawił, ale więcej rodziła pytań i problemów, niż wyjaśniała. Dzieło Lamarcka (1960), które ukazało się akurat 200 lat temu, w 1809 r., kiedy to urodził się Darwin, przeszło prawie bez echa. Cuvier ze swoją teorią katastrof dobrze osadzoną w powszechnym, dopracowanym i spójnym światopoglądzie „przegadał” Lamarcka i rewolucyjna idea ewolucji jakby została oficjalnie zdyskwalifikowana, jednak pozostała atrakcyjną, określoną już alternatywą, tyle tylko, że niedostatecznie zupełną, z określonymi, uświadomionymi brakami, problemami i pytaniami.

Propozycje Lamarcka zmienności sterowanej uświadomioną potrzebą wzorowanej na zachowaniu się człowieka lub w przypadku roślin, które nic uświadomić sobie nie mogą – bezpośredniego wymuszania odpowiednich zmian przez środowisko nie odpowiadały dostatecznie racjonalnie na podstawowe pytanie o źródło obserwowanej celowości. Sugerowały jedynie kierunek poszukiwań. Prowadziły do mistycznych sił życiowych o tej samej strukturze co źródła boskie, dziś powiedzielibyśmy ogólnie – odwoływały się do „krasnołudków”. „Dziedziczenie cech nabytych” w wyniku używania lub nieużywania narządów (np. mięśni przez kulturystę) wydawało się zgodne z obserwacją i miało znamiona mechanizmu racjonalnego, ale nie całkiem zupełnego, bo pozostawiało główną część pochodzenia celowości w pytaniu o powstanie tego mechanizmu. O mechanizmie dziedziczenia nic konkretnego na razie nie było wiadomo. **W chwili ogłoszenia dzieła Darwina zgoda na ewolucję już była (oczywiście – nie powszechna), brakowało racjonalnych mechanizmów i to dał Darwin.**

Obecnie utrwalił się dość uproszczony pogląd, że: „Lamarck owszem, zauważył ewolucję, ale poszukując jej mechanizmów wymyślił dwa

naiwne mechanizmy, w tym dziedziczenie cech nabytych, oczywiście błędne i dziś bez jakiegokolwiek znaczenia. Dopiero Darwin wskazał właściwy mechanizm – dobór naturalny, obalając tym prymitywną, całkowicie błędną teorię Lamarcka”. Lamarck nie tylko zauważył ewolucję, ale skutecznie „powołał ją do życia” jako alternatywę dla poprzedniego spójnego obrazu i wskazał swoją nieskuteczną teorią określone pytania czekające na rozwiązanie. Jemu się tylko pozornie nie udało, bo jego podstawowa teza obroniła się właśnie dzięki niemu. Dlatego właśnie dziś o nim pamiętamy. Pozostała część jego teorii to doraźne łatanie dziury, a nie cel przedsięwzięcia, łatanie, które dziurę ukazało i zmobilizowało innych, do jej skutecznego załatania. Ale nawet te nieskuteczne łaty okazują się niecałkowicie błędne, choć na łaty wskazujące źródło celowości się nie nadają.

W tym wyżej przedstawionym nadmiernie uproszczonym poglądzie jest wiele istotnych błędów, na co wskazuje Eva Jablonka (2005): Dziedziczenie cech nabytych nie jest pomysłem Lamarcka, a przyjmował je za oczywistą prawdę nawet Darwin, który podobnie zmuszony do „łatania dziur” swojej teorii stworzył „Prowizoryczną hipotezę pangenezy”, czyli dziedziczenia, w której gemule przenosiły stan wszystkich części organizmu do potomka by zrealizować „dziedziczenie cech nabytych”. Obalił je dopiero Weismann przypisując jedynie chromosomom przenoszenie informacji dziedzicznej i wydzielając linię komórek rozrodczych od pozostałej części organizmu zwierzęcego – somy. Nie było więc drogi, którą informacja mogła przejść od somy do gamet. Wskazane przez Lamarcka mechanizmy nie są sprzeczne z teorią doboru naturalnego, były jednak niepełne – nie miały podstaw i okazały się zbędne do wyjaśniania celowości, ale mogą zachodzić, a późniejsza, obalająca najważniejszy z nich, koncepcja Weismanna jest ograniczona do zwierząt wielokomórkowych i rozumiana nazbyt ogólnie i rygorystycznie. Nawet mechanizm dziedzicznej zmienności ukierunkowanej „uświadomioną potrzebą” może powstać drogą doboru naturalnego, czego niewątpliwym (jednak nie dla wszystkich)

przykładem jest nasza cywilizacja i mamy Dawkinsa. Następnie Jablonka (2005, 2009) wskazuje nowoczesne przykłady przypadków takich „lamarckowskich” mechanizmów wyjaśnianych przez dobór. Jest wśród nich przykład bakterii E. coli, która produkuje niektóre brakujące w pokarmie aminokwasy we własnym zakresie. Barbara Wrigh badała szczep, który miał ten mechanizm uszkodzony i gdy tego substratu bakterii zabrakło, zaobserwowała silny wzrost zmienności mutacyjnej dokładnie genów odpowiadających za jego produkcję. Można to podsumować: zagrożona bakteria zauważywszy awarię potrzebnej maszyny zaczęła usilnie kombinować, jak ją naprawić. Czyż nie jest to „intencjonalna” reakcja na wymagania stawiane przez środowisko, jak to określił Lamarck? Mechanizm ten powstał jednak drogą doboru i jak łatwo zauważyć nie daje gotowego rozwiązania. Szerzej o tym piszę w zeszycie 1/2010 „Kosmosu”. Dopuszczenie pod rozważanie tych drugorzędnych mechanizmów jest porzuceniem widma wroga rewolucji i częściowym wyjściem poza pierwsze przybliżenie ograniczone do mechanizmu darwinowskiego.

**Darwinowski mechanizm doboru naturalnego jest już w pełni racjonalny, stał się więc pierwszą uznaną teorią ewolucji biologicznej. Wyjaśnia on prosto podstawowy, rzucający się w oczy kierunek ewolucji – „celowe” dopasowanie do środowiska czyli adaptację. Dopiero wraz z tym mechanizmem lamarckowska rewolucyjna idea ewolucji mogła przeciwstawić się kreacjonizmowi, czyli dopiero teraz rewolucja się dokonała i dlatego teoria Darwina ma takie znaczenie. Teoria nadal nie była zupełna i jak wspomniałem wyżej Darwin musiał ją „łatać”, ale krok na ten schodek – wyjaśnienie źródeł celowości – był zasadniczy i przełomowy. Różnie można wskazywać poprzednie schodki, niewątpliwie powołanie do życia idei ewolucji przez Lamarcka jest takim ważnym schodkiem. **Podstawowy mechanizm darwinowski sprowadza się do losowej zmienności „bezkierunkowej” w sensie związku z celem, oraz testu adaptacyjnego eliminującego nie nadających się do życia, co ukierunkowuje ewolucję.****

**Drugim, niezależnym jego elementem jest konkurencja stale podnosząca wymagania wyrażana w hasle „walka o byt”.**

Darwin urodził się 200 lat temu a swoje dzieło opublikował 150 lat temu. Te okrągłe rocznice stały się pretekstem wielu podsumowań i spotkań, w tym niniejszego działu „Z DZIEDZICTWA KAROLA DARWINA”, a w nim niniejszego artykułu oraz artykułu Mariana Jankowskiego omawiającego „Festiwal Ewolucji” zorganizowany przez Polskie Stowarzyszenie Racjonalistów. Komitet Biologii Ewolucyjnej i Teoretycznej PAN uczcił te rocznice wydając specjalny zeszyt „Kosmosu” [Tom 58, 2009, Nr 3-4 (284-285)] pod redakcją profesorów Jana Kozłowskiego i Jacka Radwana, który gorąco polecam, gdyż daje szerokie współczesne spojrzenie opisane przez wielu autorów. W Krakowie w maju 2009 r. odbyła się XIII Krakowska Konferencja Metodologiczna „Ewolucja wszechświata i ewolucja życia”, której inicjatorem był ks. prof. Michał Heller z Papieskiej Akademii Teologicznej, obecnie dyrektor Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych. Organizatorami były ponadto Polska Akademia Umiejętności, Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Warszawski. W podsumowaniu tej konferencji stwierdzono, że **nie widać obecnie alternatywy naukowej dla ewolucji darwinowskiej, która dawno przestała być jedynie hipotezą.** W zasadzie jest to rozwinięcie słów papieża, usuwające podstawę katolickiej walki o utrzymanie kreacjonistycznego światopoglądu, tak ważnego dla religii, o czym wspominałem na początku tego artykułu. **Religia traci tym ruchem jedną z najsilniejszych podstaw, ale ten bastion nie dał się dłużej bronić.** Alternatywą w dającej się przewidzieć przyszłości byłaby strata zasadniczej części inteligencji i jawne określenie się jako ostoja ciemnogrodu. Jednocześnie człowiek i jego psychika stają się wynikiem ewolucji, w wymiarach naukowych bez zasadniczej różnicy z przodkami o naturze pośredniej ze zwierzętami. Należy zauważyć, że **na tej konferencji nie usiłowano nawet bronić koncepcji pośrednich, takich jak „inteligentny projekt”,** które nie doceniają siły mechanizmów darwinowskich i próbują

wspomagać je siłami nadprzyrodzonymi, zgadzając się jednak na ewolucję.

Wydawało by się, że rezygnacja z poparcia kreacjonizmu przez Kościół katolicki definitywnie kończy tego typu tłumaczenia w poważnym kręgu alternatyw i na placu boju pozostaje jedynie Darwin. Niestety, zdanie: „Darwiniści i neodarwiniści nie zawsze zdają sobie sprawę z tego, że sam dobór naturalny nie może prowadzić do tak wysokich poziomów porządku i złożoności, jakie widzimy w żyjących organizmach” pojawia się obecnie z przeciwnych pozycji – prądu naukowego zajmującego się systemami złożonymi, eksponującego **samoorganizację.** Tu polecam serię artykułów Wadhawan’a na [www.racjonalista.pl/kk.php/s,7135](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,7135) w tłumaczeniu M. Koraszewskiej, przekrojowo ukazującą ten współczesny, w zasadzie obowiązujący pogląd, którego główną postacią jest S.Kauffman. Napiętnuję w tym artykule emocje, jednak do tej idei sam mam negatywny stosunek emocjonalny, dla mnie jest to „ateistyczny kreacjonizm”. Znam tę dziedzinę dokładniej, gdyż zajmuję się badaniami symulacyjnymi adaptacyjnej ewolucji sieci złożonych i wiem, że nie jest łatwo wykazać błędność aż takiej wiary w samoorganizację. Z drugiej strony entuzjastycznie popieram rozwijaną przez Kauffmana teorię sieci złożonych i jej metody widząc w niej istotny krok we właściwym kierunku (z pominięciem przecenienia samoorganizacji). Jeżeli mam rację, to tu też widać schodki.

Odkrycie podstawowych reguł i nośników dziedziczenia tworzyło całkiem nową perspektywę pojęciową trudną do powiązania z dotychczasowym dorobkiem. Szerzej przedstawia to Adam Łomnicki w artykule „Spotkanie teorii Darwina z genetyką” ww. zeszycie „Kosmosu”. Cytuje on m.in. kuriozalne wypowiedzi genetyków nie znajdujących miejsca w tej nowej przestrzeni dla prostej idei Darwina: Wilhelm Johannsen (1909): „Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że genetyka pozbawiła podstaw darwinowską teorię doboru naturalnego”; William Bateson (1913): „...przekształcenie populacji przez drobne zmiany kierowane doбором jest

tak sprzeczne z faktami, że możemy podziwiać adwokacką zręczność, dzięki której tłumaczenie to mogło przez jakiś czas uchodzić za możliwe do przyjęcia”. Można powiedzieć, że naukowy establishment, a w każdym razie liczący się genetycy, uznali darwinowską teorię doboru za niemożliwą do zaakceptowania.

Młoda, pociągająca, panująca od niedawna genetyka nie tolerowała tego, co z nią nawet tylko wydaje się sprzeczne (na pierwszy, niefachowy rzut oka). Jest to charakterystyczny przejaw rewolucji, chociaż nie było po temu podstaw. **Genetyka była odkryciem wypełniającym obszar wcześniej jawnie prowizoryczny i czekający na wyjaśnienie, a nie zmianą uznanej „teorii” na inną, jak w przypadku przejścia od kreacjonizmu do ewolucji.** Jest to więc następny krok – pokonany schodek na drodze poznania. Rewolucyjny charakter miało wynikające z nowego spojrzenia obalenie wiele wyjaśniającego i utrwalonego w sposobie myślenia dziedziczenia cech nabytych, ale to też była jedynie niepełna prowizorka. Tu jednak brak było zastępczej propozycji i to co obalone wyjaśniało zawisło obecnie w próżni bez wyjaśnienia (nie mylić z podstawami, jak to zrobiono).

Genetyka była silniejsza, nauki ewolucyjne raczej w odwrocie usiłowały doczekać lepszych czasów. Zafundowała ona badaczom ogromną liczbę nowych pasjonujących szczegółów o podstawowym znaczeniu dla rozumienia całokształtu zjawisk życia i ewolucji – można było zająć się bezpiecznym tematem. Nie sprzyjało to próbom poszukiwania i badania zjawisk wystających poza zdolności wyjaśniania tej nauki, a nawet powodowało odłożenie wielu znanych, trudniejszych problemów i całych dziedzin na nieokreślone „później”, kiedy ta nowa, podstawowa dziedzina będzie już dostatecznie rozpoznana i można będzie powrócić do tych zagadnień w jej kontekście.

Takim „trudnym problemem” było sławne „prawo biogenetyczne” HAECKLA, którego mechanizm nazwany „wypieraniem wstecznym” doprecyzował Weismann. Mechanizm ten był skutkiem obserwowanej (ale poniżej

granicy udowodnienia) statystycznej prawidłowości „dodawanie terminalne i kondensacja wczesnych etapów ontogenezy”, której oczywistym wyjaśnieniem było powszechnie dotąd przyjmowane dziedziczenie cech nabytych, nabywanych oczywiście na końcu ontogenezy przez czynniki w środowisku fenotyp. W zasadzie inną postacią prawa biogenetycznego, które traktowane powinno być jako fenomenologiczne (podsumowanie obserwacji) jest „rekapitulacja filogenezy w ontogenezie” – przechodzenie w rozwoju osobniczym od zygoty do fenotypu przez fazy zbliżone do dalekich dorosłych przodków. Typowo przywołuje się dla zobrazowania tej prawidłowości fazę rozwoju embrionalnego wyższych kręgowców posiadającą łuki skrzelowe i ogólny plan budowy zbliżony do ryby. Obalenie dziedziczenia cech nabytych pozbawiło mechanizm powstawania rekapitulacji podstaw teoretycznych a obserwacje były zbyt subiektywne. Wydawał się on sprzeczny z genetyką, bo nie widziano sposobu jego wyjaśnienia. Specjaliści od genetyki – niepodważalne wtedy autorytety – orzekli absurdalność pomysłu rekapitulacji bez brania pod uwagę obserwacji, z którymi praktycznie nie mieli styczności. Dokładnie według kuriozalnej, ale w warunkach rewolucji powszechnie spotykanej regule – „jeżeli fakty przeczą naszej idei, tym gorzej dla faktów”. Słychać było głównie głosy krytyki z pozycji genetycznych, natomiast obrona nie dużo mogła powiedzieć i raczej nie ryzykowała. „Wielu entuzjastów rekapitulacji po przejściu na mendelizm nie poruszało tego tematu w piśmie” – stwierdza Gould (1977), który jako ostatni podjął próbę ratowania rekapitulacji z pozycji genetycznych, ale mu się nie powiodło i tę datę przyjmuje się za datę ostatecznej śmierci tej idei. Jest ona bowiem jak Rasputin Wilkins (2002) i dobijana jest wielokrotnie, jednak żyje. Już w 1917 r. zastąpiono dodawanie terminalne Weismanna zmiennością terminalną Naefa, której naiwnie prosty mechanizm zgodny z genetyką podał de Beer w r. 1940 (w zasadzie do dziś obowiązujący).

Zagadnieniami tymi zajmowała się embriologia porównawcza, która wraz z burzliwym rozwojem genetyki na początku XX w. uległa



nagłemu zaniechaniu na Zachodzie. Na Wschodzie badania kontynuował Sjewiercow i jego uczeń Schmalhausen (Szmalhauzen), który jawnie uznawał rekapitulację. Obecnie próbuje się już wskrzesić embriologię porównawczą w modnej „evo-devo”. Temu zagadnieniu poświęcił swoją książkę WILKINS 2002, który aby nie zostać zlekceważony modnie – bardzo ostro, odniósł się do idei rekapitulacji stwierdzając nawet, że „lepiej, gdyby tego Haeckla nigdy nie było”. To się podobało i pomogło – książka stała się popularna, rzadko kto na Zachodzie wie, kto to jest Schmalhausen, któremu książka jest dedykowana. Problem rekapitulacji jest jednym z najbardziej kontrowersyjnych problemów do dziś. Przyznanie się do popierania tej idei jest niemal samobójstwem w środowisku biologów, niemal pewnością odrzucenia artykułu w lepszych pismach. Dotknąłem tego problemu osobiście, gdyż wyjaśniłem (Gecow 2008a) mechanizm rekapitulacji zgodnie z genetyką metodami symulacji ewolucji złożonych sieci funkcjonujących (tę dziedzinę rozwijają fizycy, jednak biolodzy nie mają śmiałości podjąć dyskusji).

Gdzieś w pierwszej połowie XX wieku, udało się zbudować wspólne spojrzenie genetyki i teorii Darwina oparte na genetyce populacyjnej. Stało się już jasne, co i jak ulega zmienności, jak rozumieć jej losowość i jak na pulę genową populacji działa dobór zmieniając kierunkowo frekwencje genów. Zmienność bezkierunkową opisywała więc teraz genetyka a dobór darwinowski ją tylko modyfikował nadając kierunek. To spójne spojrzenie konstytuuje stan zupełnej teorii pierwszego przybliżenia ograniczonej zakresem klarownych założeń, określonych mechanizmów i ich skutków. Tak powstał się wielki spójny obszar i jego nieuczyszczane pogranicze. Jest naturalne, że opis i wyjaśnianie zjawisk rozwijają się drogą kolejnych przybliżeń. W biologii takie spojrzenie jest raczej rzadkością, co znacznie powiększa skrajności poglądów i nieadekwatnie wprowadza charakter przemian rewolucyjnych. Emocje i wymagania związane z rozciągniętą w czasie od Lamarcka do Darwina rewolucją zepchnęły na drugi plan takie schodkowe po-

dejście. Rzeczywistość jest złożona, aby z grubsza zacząć ją rozumieć pierwsze przybliżenie musi ograniczyć się do klarownych, możliwie prostych założeń, w ramach których można wyjaśnić istotną część obserwacji i zbudować rusztowanie do przybliżeń następnych.

**Dziedziczenie cech drogą genetyczną jest założeniem pierwszego przybliżenia. Jest ono dobrze uzasadnione, ale z tego założenia obszar badań i rozpatrywanych przypadków jest ograniczony, co obowiązywało w sporym przedziale czasu – prawie cały XX w nieco przypominając modny wtedy totalitaryzm.** Wraz ze spektakularnym obaleniem „dziedziczenia cech nabytych” sprawiło wrażenie oczywistej, niekwestionowanej wyłączności. To przyzwyczajenie, nie poparte logiczną analizą, doprowadziło nawet do kuriozalnego odwrócenia definicji dziedziczenia – powszechnie rozumiano cechę dziedziczną jako zapisaną w genach, co definitywnie uniemożliwiało dyskusję o innych kanałach dziedziczenia cech. Tu także Jablonka (2005, 2009) wskazuje obszary drugiego przybliżenia, gdzie dogmat ten nie obowiązuje i wyróżnia w nich następne kanały informacji dziedzicznej – epigenetyczny, behawioralny i symboliczny, oraz także podaje przykłady.

**Podobnie do dziedziczenia genetycznego problem kierunku ewolucji wydawał się oczywisty: zmienność jest bezkierunkowa a kierunek ewolucji (adaptację) wyznacza mechanizm darwinowskiego doboru.** Tu nastąpiło pierwsze istotne uzupełnienie o charakterze drugiego przybliżenia – dryf genetyczny odkryty przez Motoo Kimurę (1983). Dryf podkopał wyłączność doboru we wskazywaniu kierunku ewolucji. Są to głównie zjawiska wynikające z fluktuacji statystycznych występujących najsilniej, gdy populacje są małe. Dobór wtedy jest też słabszy i przepuszcza większy zakres zmian prawie neutralnych, co pozwala utrwalić w ewoluującym obiekcie asymetrię pierwotnego rozkładu zmienności (przed doborem). Sam dryf także tworzy w takich warunkach pewne kierunki. Oceny, który z mechanizmów przeważa w ewolucji



- neutralny czy adaptacyjny też bywały skrajne. Obecnie Lynch (2007) podniósł temat nieadaptacyjnych mechanizmów ewolucji i wykazał, że próg złożoności bakterii został pokonany przez eukarionty (w tym nas) w wyniku ograniczenia wpływu doboru naturalnego. Zmienność nie jest więc bezkierunkowa, czego już dawno się spodziewano. Plate (1913,1928) przypisał termin „ortogeneza” ewolucji kierunkowej zachodzącej w wyniku samej kierunkowej zmienności bez udziału selekcji. Bezkierunkowość zmienności w mechanizmie darwinowskim jest jednak czym innym - dotyczy braku wymagania związku z kierunkiem adaptacji (celowością). A ten właśnie związek postulował Lamarck jeszcze przed odkryciem doboru, po tym odkryciu stało się to jednak zbędne.

**Ostatnie dwa dziesięciolecia znacznie pogłębiły wiedzę i rozumienie zjawisk, nadszedł już naturalny czas na głębszą analizę zjawisk z pogranicza.** Opadły rewolucyjne emocje wymagające skrajnych uproszczeń i werbalnej poprawności. Rozpoczął się powrót do zapomnianych obserwacji i całych dziedzin (Wilkins 2002), których stare podsumowania i koncepcje wyjaśniające można już próbować opisać i oceniać w kontekście osiągnięć genetyki. Daje się już nawet postawić pytanie: „Czy kanał genetyczny to jedyny kanał przekazu informacji dziedzicznej?” Można podjąć poważną dyskusję: „Czy rzeczywiście dziedziczenie jakichkolwiek cech nabytych jest niemożliwe?” lub „Czy pierwotny rozkład zmienności dziedzicznej (ten przed dobozem) może być modyfikowany odpowiednio do potrzeb rozpoznanych przez ewoluujący obiekt?” Te właśnie pytania analizuje Eva Jablonka i Marion Lamb (2005) w książce „Ewolucja w czterech wymiarach. Genetyczna, epigenetyczna, behawioralna i symboliczna zmienność w historii życia”. Dalej rewolucje są już zbędne, należy wyjść z ograniczeń pierwszego przybliżenia i mozolnie piąć się po schodkach pod górę.

Jednym z ważnych, trudnych, archaicznych problemów omijanych obecnie z powodu niebezpieczeństwa zbyt uproszczonego zakwa-

lifikowania do nienaukowych, dawno przewyższonych poglądów, jest **celowość budowy i funkcjonowania obiektów żywych.** By odciąć się od finalistycznego wyjaśniania poprzez konieczność osiągnięcia założonego celu Pittendrigh (1958) wprowadził zastępcze pojęcie „teleonomia”. Aby nie nazwać informacji gromadzonej w ewoluujących obiektach „celową”, Küppers (1986) użył słowa „biologiczna” i poszukiwania prowadzi się „pod latarnią” zamiast spojrzeć prawdzie w oczy podejmując trud poprawnego zdefiniowania niebezpiecznych pojęć i używać ich bez błędu finalizmu. Obecnie, podobnie do kanałów informacji dziedzicznej, informacja biologiczna utożsamiana jest z informacją genetyczną zapisaną w DNA. Jest to dalekie uproszczenie, uprawnione w zakresie pierwszego przybliżenia, ale czas już uświadomić sobie, że jest to ograniczenie sztuczne i zbadać temat głębiej. Wychodząc z pojęć zdefiniowanych poza biologią definiuję informację celową i jej gromadzenie w sposób racjonalny, bez odwoływania się do podmiotu, który stawia jakies cele (Gecow 2008b). Następnie stawiam pytania: „Czy może zaistnieć spontanicznie (samoistnie) proces gromadzenia informacji celowej?” a jeżeli tak, to: „jakie ma on właściwości?” **Okazuje się, że realizuje on mechanizm darwinowski; jedynym celem, do jakiego może być spontanicznie zbierana informacja celowa jest „istnienie nadal”; proces taki musi zawierać rozmnażanie; a całość do złudzenia przypomina proces życia. Tak więc podstawowe własności życia wynikają z jego samoistności w odróżnieniu od życia sztucznego, w tym stworzonego, które ma znacznie szersze możliwości.**

Niewątpliwie powyższy obraz jest przerysowany i znacznie uproszczony. Jest to konieczne, by go przekazać w dostatecznie zwięzły sposób. Jednocześnie jest to dobry przykład konieczności stosowania kolejnych przybliżeń.

### Ważniejsze pozycje literatury

Gecow A., 2008a. *Structural Tendencies - effects of adaptive evolution of complex (chaotic) systems.* Int.J. Mod.Phys. C 19, 647-664.

Gecow A., 2008b. *The purposeful information. On the difference between natural and artificial life.* Dialogue & Universalism 18, 191-206.

Gould S. J., 1977 *Ontogeny and phylogeny.* Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts

Jablonka E, Lamb M.J., 2005, *Evolution in four dimensions: genetic, epigenetic, behavioral and symbolic variation in the history of life.* Cambridge, MIT Press.

Jablonka E., RAZ G., 2009. *Transgenerational Epigenetic Inheritance: prevalence, mechanisms and implications for the study of heredity and evolution.* Quart. Rev. Biol. 84, 131-176.

Lamarck J. B., 1960. *Filozofia zoologii.* PWN, Warszawa.

Wilkins A. S. 2002, *The evolution of developmental pathways.* Sinauer Associates, Inc. Sunderland, Massachusetts

---

Autor jest doktorem fizyki, długoletnim pracownikiem IJB w Świerku, ostatnio związany z Centrum Badań Ekologicznych PAN.

# Marian Piotr JANKOWSKI

## Ewolucja – Powszechny Inżynier Natury

---

### Festiwal Ewolucji Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów marzec 2009 r.

#### 1. Motywacja i geneza Festiwalu

W drugim dniu IV Festiwalu Racjonalistycznego (22 marca 2009), którego pierwszy dzień (21 marca) poświęcony był Walnemu Zjazdowi Członków PSR, odbyła się impreza popularnonaukowa – Festiwal Ewolucji.

Bezpośrednim impulsem dla jego zorganizowania była podwójna rocznica związana z osobą Karola Darwina – 200-lecia urodzin i 150-lecia wydania jego fundamentalnego dzieła „*O powstawaniu gatunków drogą naturalnego doboru*”. Stąd, rok 2009 ogłoszono międzynarodowym Rokiem Darwina. **Znaczenie dorobku Karola Darwina – jego teorii ewolucji – w historii cywilizacji polega na tym, że**

**zapełniła ostatnią wielką białą plamę w naukowym, laickim modelu świata.** Wcześniej, pełne wyjaśnienia (co nie znaczy spójne logicznie i zgodne z faktami) oferowały jedynie baśniowo-magiczne modele religijne i mitologiczne. Te okoliczności nie mogły nie zostać dostrzeżone i odpowiednio uhonorowane przez Polskie Stowarzyszenie Racjonalistów.

Festiwal Ewolucji został zorganizowany przez Oddział Warszawski Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów i Wydział Biologii UW, przy współpracy Muzeum Ewolucji Instytutu Paleobiologii PAN i Muzeum Ziemi PAN. Składał się z Konferencji popularnonaukowej „**Ewolucja – Inżynier Natury**” złożonej z części wstępnej i dwóch sesji, prezentacji zbiorów obu Muzeów, ogłoszenia wyników Konkursów Darwinowskich PSR, z kiermaszu wydawnictw związanych z ewolucjonizmem – we współpracy z Wydawnictwami UW i Muzeum Ewolucji, oraz z ogólnego panelu dyskusyjnego na końcu imprezy.

## 2. Uogólniona definicja Ewolucji Darwinowskiej

Dziełem Darwina nie jest ewolucja, ale odkrycie i opis abstrakcyjnego modelu ewolucji – szczególnego typu – dziś zwanego Ewolucją Darwinowską. Sama ewolucja jest dziełem Natury.

**Ewolucja Darwinowska (ED) – jest to proces dynamiczny, odbywający się w dowolnej populacji, polegający na losowej generacji wariantów elementów tej populacji – o zmieniających się cechach, oraz na nielosowej selekcji elementów tej populacji, według pewnej funkcji kryterialnej.**

Generacja wariantów elementów populacji może odbywać się przy tym z generacją nowych i usuwaniem starych, lub bez ich usuwania, lub tylko ze zmianą cech starych, bez generacji nowych, tak samo – z usuwaniem starych, lub bez ich usuwania. To okoliczności drugorzędne.

Należy podkreślić, że powyższa definicja w ogóle nie odwołuje się do pojęcia organizmu (osobnika czy fenotypu). Może wręcz go nie być. Elementem populacji jest tu jedynie genotyp (czy ogólniej replikotyp). Ewentualny organizm (osobnik) – obecny w niektórych egzemplifikacjach ED – jest jedynie formą pomocniczą, tworzoną tylko doraźnie, dla wyznaczenia wartości funkcji kryterialnej. W tak ogólnym ujęciu ewolucja Darwina i Lamarcka stają się tożsame.

Inną ważną i ciekawą okolicznością, której arbitralnego przesądzenia z góry powyższa definicja rezygnuje (nic nie tracąc, a zyskując na sile wyjaśniania), jest parametr czasu trwania procesu ED (mierzony zegarem lub liczbą pokoleń) oraz związane zagadnienie konieczności rozmnażania. Ewolucja może być nieograniczona w czasie (jak życie na Ziemi – 3,9 mld lat i trwa) – wtedy dla utrzymania populacji rozmnażanie jest konieczne, lub też być ograniczona w czasie (jak planetogeneza II – kilkadziesiąt mln lat i starczy) – wtedy dla utrzymania populacji rozmnażanie jest zbędne. W szczególności ED może być też jednopokoleniowa (jak tworzenie struktury piany gromad galaktyk lub wypiek ciast czy styropianu).

Abstrakcyjne sformułowanie Modelu ED pozwala przeprowadzić matematyczny, dedukcyjny dowód nieuchronności zjawiska w jego warunkach definicyjnych, oraz wyznaczać probabilistyczne wskaźniki szybkości zbieżności procesu. Istotną cechą procesów optymalizacyjnych ED jest to, że nie dają gwarancji osiągnięcia optimum globalnego. Produkują jedynie „dość dobre” lub „całkiem dobre” rozwiązania. Wadą procesu jest powolna zbieżność. Jest ona jednak nieistotna, gdy do dyspozycji stoją miliardy lat, lub procesory o miliardach operacji na sekundę. Zaletą z kolei jest jego strukturalna prostota i niesłychana odporność na wielowymiarowość przestrzeni cech oraz na nieregularność funkcji kryterialnej.

Tak, szerzej pojmowana Ewolucja Darwinowska – jest wszechobecna. Poza biologią, tworzy nowe jakości w kulturach ludzkich i zwierzęcych (człowiek też zwierzę), w tym w polityce (np. w ustrojach politycznych ludzi, mrówek i in.), w gospodarce (współzawodnictwo firm), w technice (współzawodnictwo innowacji), naukach podstawowych (generacja i weryfikacja hipotez – współzawodnictwo modeli wyjaśniających), a także w przyrodzie nieożywionej – np. w planetogenezie drugiej tury (powstawania planet małych, skalistych i mokrych – typu Ziemi), w powstawaniu kosmicznej makrostruktury piany gromad galaktyk, w wypiekach chleba i ciast, w produkcji pianek z tworzyw, w szampanie, w czajniku, itd.

Ostatnie przykłady to jednopokoleniowa ED. Np. dla tworzenia piany gromad galaktyk fazę generacji losowej zmienności w populacji utworzyły fluktuacje kwantowe supergęstego Wszechświata (o wieku mikrosekund), zamrożone przez kosmiczną inflację. Fazę nielosowej selekcji natomiast utworzyło rozrywanie tych niejednorodności przez puchnącą przestrzeń, w miejscach o najsłabszym wiązaniu grawitacyjnym (w wieku do pierwszego miliarda lat). Tak powstały „pustki” kosmiczne, w „ścianach” kosmicznych, grupując gromady galaktyk. Ten sam mechanizm morfogenezy zachodzi w piekarniku.

Inny przykład, planety drugiej tury – małe, skaliste i mokre (pierwotnie zawierające wodę) – powstawały jako ostateczny, stabilny rezultat

długotrwałego procesu losowej generacji wzajemnie modyfikujących się orbit, wielkości i składów fizykochemicznych oddziałujących ciał: akreującego obłoku gazowo-pyłowego (ziaren pyłu, asteroidów, komet i gazu), oraz systematycznej ich selekcji – usuwania stanów nietrwałych (np. wydłużonych, kolizyjnych i niesynchronicznych orbit). Tu selekcja odbywała się dwojako – przez zmianę cech (orbity, składu) lub przez usunięcie elementu (wychwyty przez gwiazdę, planetę olbrzymą lub wyrzut w otwartą przestrzeń).

### 3. Przesłanie i treści Festiwalu

Przesłaniem Festiwalu było ukazanie i ilustracja, na konkretnych przykładach, bogatych w materiał empiryczny, uniwersalnego charakteru i mocy sprawczej Ewolucji Darwinowskiej. Ostatni przykład – zjawiska Planetogenezy II tury – ilustrował wykład astronomiczny Festiwalu.

**Zasługą Darwina jest odkrycie abstrakcyjnego modelu ewolucji (darwinowskiej) i odniesienie go do biologii. Model Ewolucji Darwinowskiej jest natomiast ogólny, i odnosi się do wszystkich okoliczności spełniających warunki konieczne (niezależnie od tego, jak dalece był tego świadom sam Darwin). Powstawanie gatunków biologicznych to tylko koronny przykład.** Ostatni wykład pokazał skuteczność komputerowych algorytmów ewolucyjnych – jako uniwersalnego narzędzia do optymalizacji wszystkiego.

Z kolei obecność Ewolucji Darwinowskiej w cywilizacji Homo Sapiens jest dwojakiej natury. Raz występuje jako **konkretny model**,

efektywnie tłumaczący szereg szczegółowych zjawisk stanowiących wcześniej zagadkę (z powstawaniem gatunków biologicznych na czele), drugi raz występuje jako **model tłumaczący** samo zjawisko tworzenia i następstwa **modeli tłumaczących** cokolwiek w ludzkich postrzeżeniach świata. Ono również podlega ED, tym razem kulturowej. Ilustracji tych zjawisk dotyczył wykład o rewolucjach światopoglądowych.

Wspomniane wyżej wykłady tworzyły Sesję 2 – „Ewolucja – Inżynier Świata” Festiwalu. Wykłady Sesji 1 – „Ewolucja – Inżynier Życia” przeznaczone były przedstawieniu osoby Karola Darwina oraz tła i okoliczności jego odkryć, przedstawieniu ostatnich odkryć w badaniach genetycznych, molekularnych i lingwistycznych dotyczących antropogenezy, i przedstawieniu ostatnich wyników badań etologicznych – wyjaśniających wiele w fenomenie formowania się najbardziej złożonego ze znanych tworów przyrody – umysłu.

Wykład wstępny – prezentujący kolekcję zbiorów Muzeum Ewolucji IP PAN, z akcentem na tzw. „brakujące ogniwa ewolucji” (których nie brak w Muzeum – np. Ichtiostega, Archeopteryks, Lucy), pozwalał z kolei skonstatować, że jedynymi faktycznie obecnie brakującymi ogniwami są brakujące ogniwa w przewodzie myślowym zatwardziały przeciwników ewolucji i Darwina.

Uświadomieniu tych faktów oraz dedukcyjnej nieuchronności zjawiska Ewolucji Darwinowskiej w jego warunkach konstytutywnych, służył Festiwal Ewolucji Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów. Że niektórym taka wiedza zaskakuje, nie dziwi. To potwierdza potrzebę jej głoszenia.

---

Autor jest wiceprezesem Zarządu Oddziału Warszawskiego PSR; był szefem Komitetu Organizacyjnego i prowadzącym Festiwal.



# PORTRETY HUMANISTÓW

Eugeniusz KABATC

## Rozbite „lustro czasu”



**Józef Szajna**

Jerzy J. Fąfara napisał niezwykłą książkę. Poświęcił ją pamięci Józefa Szajny i uwikłał nas, czytelników, w splot wydarzeń, faktów, okoliczności prawdziwych i wyobrażanych nie tylko przez siebie samego, ale i przez bohaterów tej poruszającej opowieści. Tego świetnie napisanego literackiego dyskursu, tej trudnej zarazem epopei o najtrudniejszym czasie wojny i okupacji niemieckiej, czasie obozowym, czasie zagłady i dna.

To sam Szajna nazwała tak (*Dno*) swoją relację o najgorszych latach swego życia. Tamte lata, obozu w Auschwitz, Birkenau, a potem w Buchenwaldzie, opisał w aliterackim skrócie, jakby świadom, że inni – wielu! – zrobili to już i jeszcze zrobią z iście dramatycznym rozmachem i umiłowaniem detalu. Ale to jego powściągliwe świadectwo jest wstrząsające, to „jedna wielka scena zagłady, gdzie króluje zło”. Gdzie, Boże, nie ma już Boga. Toteż powstała ogromna biblioteka książek na

ten temat, książek polskich i obcych – straszny zapis masowego mordy i odczłowieczenia człowieka.

Józef Szajna, ten wybitny plastyk i twórca światowego teatru awangardowego (o którym Zbigniew Taranienko wydał właśnie w tym samym Podkarpackim Instytucie Książki i Marketingu kolejną swoją książkę), tak naprawdę nigdy nie dołączył ze swoją golgotą do autorów dokumentalnego słowa, dopiero w sztuce znajdując ujęcie dla swoich zmagani z ciężarem obozowej pamięci, z jej sensem w otchłani ludzkiego losu. „Wspomnienia należą do przeszłości”, pisał, „prawdziwy dramat nie wymaga wielu słów”, „obraz jest wszystkim”. Nie zlekceważył jednak słowa do końca, pisał mało, ale dużo mówił, wyjaśniając, komentując, uzasadniając swój stosunek do sztuki jako przedłużenia życia; wykładał, uczył, kierował ludźmi niczym prorok nowej wiedzy. W ostatnich latach połączył to wszystko – słowo i obraz – w wielką, humanistyczną potrzebę pamięci i pojednania, wyrażając ją w projekcie oświęcimskiego kopca, uwieńczonego swoją rzeźbą „Przejsie”.



No dobrze, tak można by długo, bo temat jest ogromny, Jerzy Fąfara o tym wszystkim wie, a wiedząc, że nie da się takiego życia zmieścić nawet w najgrubszej książce, wybrał tego życia znaki szczególne i skonfrontował je z własną wiedzą o życiu, pozwalając swojej wyobraźni i pisarskiemu rzemiosłu nadać „rzeczy o Józefie Szajnie” wartość dzieła. Zakładając, że sztuka nie bierze się znikąd, sięgnął do rzeszowskich korzeni artysty, które on pisarz rodem z tego miasta, najlepiej i najgłębiej rozumie. Z panoramicznym rozmachem, lecz ze szczegółami w zanadru konstruuje obrazy opowieści wedle *pękniętego zwierciadła czasu*. Jest to konstrukcja zapożyczona z własnej wyobraźni oferującej współpracę żywym bohaterom tragicznej epopei, ich szczególnej wrażliwości nieustannie zagrożonej niebytem. Pisarz zdobywa się tu na ryzykowny krok osobistego włączenia się w przerysowany puls tego niesłychanego pogranicza być – nie być, na którym najtrudniej sprawdza się człowiek, zapadając zwykle w stan fizycznej i duchowej prostracji. Ucieczka zmysłów przed cierpieniem jest zrozumiała, staje się łaską prawa natury, która potrafi zawiesić ekran ciszy także nad umysłem człowieka. Nie jest to jednak ekran martwy, pojawiają się na nim strzępy przeszłości, kapryśne jak w krzywym zwierciadle, za którym „rzeka wciąż płynie, choć jest już sucha”; rozedrgane obrazy pamięci nie dają się zatrzymać ani na chwilę, wplątują się w szorstką materię rzeczywistości, pozostają w nieustannym ruchu przestrzeni i czasu. Nic tu nie jest linearne, skojarzenia następują po sobie bez porządku, w bolesnych mgnieniach, przywołują minione lub tylko wymarzone chwile, a te nie dają się skleić w całość, zrywają się jak zleżała filmowa taśma, nie poddają się kontroli świadomości, są ulotne, niedokończone.

Szajnowe „dno” życia to nie śmierć, to kres pewnych wartości odczuwanych jako bezwzględność kamienia, zaciskający się mur, miażdżące czas, bez którego nic nie jest sensowne, logiczne, rzeczywiste...

\*

Jak odnaleźć się od nowa w prawdzie? Szajna wydobyty z celi śmierci wraca do rzeczywistości piekła. Gdy kończy się piekło (nie do wiary!), otwiera się przed nim długa droga „życia w sztuce”, droga udręki w zupełnie innym wymiarze. Wszedł na nią „dantejsko” współtworząc ją z Poetą, sam stając się poetą w chaosie świata, choć nikt nie chciał wierzyć, że po Oświęcimiu jest to możliwe. Ta poezja czynu artystycznego niewiele miała wspólnego z pięknem, nie uspokajała bowiem, nie łagodziła cierpienia duszy, przeciwnie, drażniła sumienia, domagając się odpowiedzialności nie tylko za to, co się czyni, ale i za modlitwy człowieka: „zadbaj o siebie”, „umyj ręce”, wołał w porywie moralnego uniesienia. „Za zło na świecie jesteśmy wszyscy odpowiedzialni”. Gdy po raz pierwszy stanął w bramie obozu w Oświęcimiu, nie miał wyboru: w sposób widoczny brama głosiła: „Arbeit macht frei”, w niewidocznym dantejsko uprzedzała: „Przeze mnie droga w miasto utrapienia, (*Przeze mnie droga w wiekiuste męki...*) Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją” – przykład Edwarda Porębowicza. Nie wiem kiedy mu przysłała do głowy idea „drabiny do nieba”, wiem, że wyrastała z piekła (Mam ją w Warszawie po drugiej stronie ulicy – w ogrodzie Muzeum Narodowego – i nieraz z trwogą przyglądam się jak Duch Męczeństwa pokonuje jej ostatni szczebel: co tam zastanie?).

Tę bliskość Dantego w opisie człowieczej historiozofii przejmują Jerzy Fąfara. To swoje arcytrudne, biograficzne studium o Szajnie poprzedza jako mottem pierwszymi strofami *Boskiej Komedii*, wyznającymi zagubienie „w życia wędrowce”, „w głębi ciemnego znalazłszy się lasu”. Jego pisarska wizja na tej drodze do piekła wycofuje się na rozległą panoramę młodości artysty urodzonego w ich wspólnym Rzeszowie, nasycając strony opowieści serdecznym ciepłem miasta, przyjaciół szkolnych,

młodzieńczych porywów i marzeń, by wybuchem morderczej wojny rozbić czas dojrzenia i doświadczeń kształtujące się dopiero człowieczeństwo najgorszą udręką i poniżeniem. Idzie tu autor tropem swojego głównego bohatera, wciąż otaczając go jednak przyjaciółmi, też pechowymi na swój sposób, gdyż jako jedni z pierwszych trafili oni do obozu, co wydłużając im czas męki, jakoś tam przecież hartowało, uczyło trudnej gry na przetrwanie i ułatwiało pomoc innym. Narrator, za młody na to, by na własnej skórze odczuć okupacyjną a zwłaszcza obozową nieprawdopodobną rzeczywistość, posłużył się relacją bezpośrednich świadków, w porę indagując tych spośród przyjaciół Szajny, którym udało się powrócić z obozowego piekła z życiem. Niewielu doczekało się wyzwolenia, ale i oni patrzyli potem na siebie z niedowierzaniem, jak to się stało, że oni właśnie... wszak wszyscy jednakowo byli skazani na śmierć. Nieraz do Boga, którego tam utracili, zwracali się z tym pytaniem: dlaczego to nas uratowałeś, gdy inni ginęli jak muchy? Odpowiedź zawsze była podobna: Byście mogli zaświadczyć ludziom w pokoju o bohaterstwie ofiar i nikczemności katów. Więc zaświadczały jak mogli zdewastowanym zdrowiem i wyostrzoną pamięcią – o demonicznym złu tamtego świata i dobru, mimo wszystko uratowanym w człowieku. I o tych tajemnicach nigdy do końca nie zbadanych własnej psychiki, wokół których Szajna krążył nieustannie, także i wtedy, kiedy już „życie zamieniał w obraz, sięgając wciąż – choć czasem broniąc się przed tym – do tamtych przeżyć w bunkrze na bloku śmierci („pomieszczenie bez wyjścia, bez okna, bez powietrza”), gdy oczekiwanie na „rozwałkę” zbliżało go „do spraw ostatecznych”. Mówi potem (w Cervantesie): „Choć byłem już z pętli odcięty, śmierć pozostawała we mnie”. To w akcie samoobrony, wyznał w szkicu „wybory i odniesienia”, podjął próbę wyzwolenia się w sztuce. W każdym zmaganiu się z materią teatralnej rzeczywistości dokonywał wobec bagażu ciężkiej pamięci swoistego rozpakowania (Déballage), potykając się, podnosząc, nieprzerwanie poszukując najbardziej przejmującego, najgłębszego wyrazu dla swoich coraz dojrzałych filozoficzno-artystycznych idei.

Autor książki *18 znaczy żyć* (sam Szajna niezbyt poważnie traktował spekulacje kabalistyki cyfrowej wokół swojego obozowego numeru – 18729) zaczyna swój ambitny „portret artysty z czasów młodości” od podwójnego przypomnienia kilku zasadniczych faktów. Otóż gdy Szajna spotyka niemieckiego papieża na terenie byłego obozu Auschwitz pod ścianą śmierci i mówi, że on tu już kiedyś stał skazany na rozstrzelanie, na rozpaczliwe pytanie jak to było możliwe, zdobywa się na odpowiedź, że przed kilkoma laty polski papież otrzymał już był z jego rąk w tej sprawie „wyjaśnienie”: obraz zatytułowany *Numer*, przedstawiający ukrzyżowany skolażowany obozowy pasiak...

„Człowiek zrzuca skorupę czasu i żyje”. Ukrzyżowany – zmartwychwstaje. Pisarz wkracza na teren eschatologiczny odważnie, postrzega zniekształcony gwałtem świat oczami Szajny, z którym próbuje w pewnej mierze utożsamić się, by móc z bliska zobaczyć to wszystko, by móc zrozumieć.

(Nie chciałbym włączać się w tak misternie zbudowaną opowieść jako kolejny narrator, kuszony własną pamięcią i wiedzą, rozmowami ucznia z mistrzem, boć wiem, że nigdy nie będą one skończone. Niech się zatem toczy swoim torem ta czuła rzecz o Szajnie, niech nas wzbogaca autorskim słowem, myślą, imaginacją. Wysoko ocenił ten wysiłek sam Mistrz tej swoistej kapituły prawdy, w jednym z listów do autora wołając: „Niech brzmią fanfary dla Jerzego Fąfary!”).

Człowiek staje bezradny z wnioskowaniem wobec tak bezwzględnej przemocy, jaką więzień przeżywa w bunkrze śmierci czy potem w karnej kompanii. Ale pisarz, towarzysząc temu losowi, zdobywa się na wiarę, że można jednak odbić się od tego

dna upodlenia i męki, by po szczeblach wyostrzonych do granic możliwości zmysłów, żywej pamięci i utajonej wyobraźni wznieść się ku nowemu człowieczeństwu.

Wielka siła wewnętrzna musiała tkwić w tym człowieku, wielka siła nadziei wystawionej przeciwko ekstremalnym wyzwaniom, że już wtedy, w najtrudniejszych chwilach swojego życia, wywołał w sobie obrazy i odruchy ku czynom, jakie miały się stać fundamentem jego sztuki. Pisarz pochwycił to w locie i w posępną rzeczywistość obozową wpisał sceny z życia obok, chciałoby się powiedzieć, z życia normalnego, gdyby nie to, że mamy tu do czynienia z bytem raczej demonów w niebie (przyjęcie w domu Hoessów) i anioła w piekle (przykład siostry Marii) niż jakąkolwiek normalnością obozową. Fąfara, pisarz o ogromnej inwencji twórczej, zadbał też o to, by książka miała różnorodne impulsy formalne, by mogła zainteresować wszystkich. (Nie ludźmy się, tylko wszystkich wrażliwych.). Dzięki mu za to. A wydawcy za świetne opracowanie graficzne.

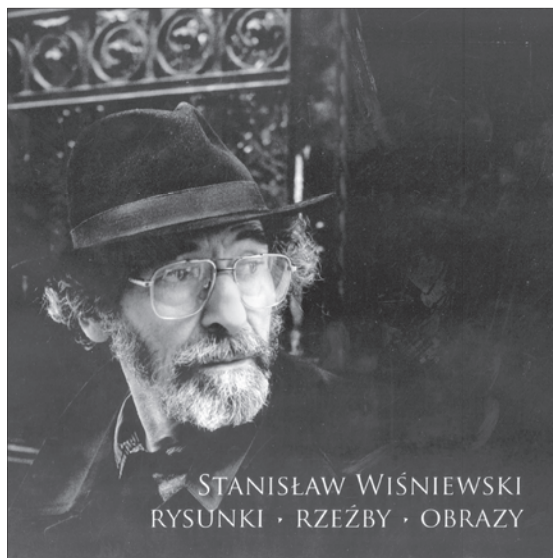
---

Jerzy H. FAFARA, *18 znaczy życie, rzecz o Józefie Szajnie*. Podkarpackie Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2009

---

## Władysław LORANC

# Stanisław Wiśniewski – artysta-malarz i pisarz



Po raz czwarty w krakowskim Pałacu Sztuki, instytucji od przeszło stu lat prezentującej dzieła najwybitniejszych artystów polskich i zagranicznych, pokazał swe prace Stanisław Wiśniewski, onegdaj student, dziś profesor Akademii Sztuk Pięknych, uczelni która była i jest matczynikiem sztuki, mostem łączącym miasto z intelektualnym życiem Europy, była i trwa jako współtwórca demokratycznych przemian narodowego bytu. Każda z wystaw dawniejszych była artystycznym wydarzeniem oraz intelektualną podniętą do głębszych przemyśleń nad sytuacją sztuki i warunkami jej rozwoju. Przypomnę dwie z nich: „Jesień kawalerii” (1974) i „Manhattan Plantami otoczony” (1983). Ta pierwsza, rezygnując z kliwowych hasel czy patriotycznej frazeologii, wprowadziła do myślenia zbiorowego zasadniczą dla egzystencji narodu kwestię stosunku do tradycji. Zachęcała do pytań jak tworzyć świadomość społeczeństwa emancypujących

---

się ludzi pracy. Artyście chodziło o naturalną krytykę złych doświadczeń lecz także o potrzebne jak tlen dziedziczenie wszystkiego, co w dwudziestoleciu międzywojennym było wartościowe.

Druga z wystaw była zaskakująco dojrzałą próbą wyrwania myśli o sztuce i jej roli z zaściankowego myślenia, z wciąż groźnego nawyku plagiatowania przełomów artystycznych. Podstawą wyboru miała być nie nowa edycja sporu z kapistami, ale realistyczna lecz ostra obserwacja doświadczeń kraju, w którym uformowało się nowe centrum życia artystycznego, już nie Paryż, lecz właśnie Manhattan. Autor tej odważnie pomyślanej wystawy sądził, że dyskusja o sztuce, jeśli nie ma być jałowym sporem, powinna nas otworzyć na nowe doświadczenia i radykalnie zmienione reguły funkcjonowania sztuki w symbolicznie rozumianym świecie Manhattanu. Ruch myśli wywołany obu wystawami była słabszy niż można było oczekiwać.

Obecną, właśnie już czwartą wystawę w lokalu TPSP zatytułowano: „Stanisław Wiśniewski – 50 lat twórczości”. Zapewne zachęciły do tego względy formalne. Przypadek sprawił, że absolwent sześcioletnich studiów otrzymał w maju 1960 roku dyplom z numerem porządkowym: 1000.

Podpisał go rektor prof. Czesław Rzepiński i dziekan prof. H. Rudzka-Cybis.

Fakt ten potwierdził, że kalendarz i statystyka znaczenie mają, ale samo ukończenie wyższych studiów artystycznych i otrzymanie tytułu „dyplomowany artysta w zakresie malarstwa” niczego nie rozstrzyga. Żadna z dwóch liczb oznaczających początek i koniec półwiecza, w którym powstawały wystawione prace niczego w polskiej sztuce nie zaczynała i nie kończyła. One mają znaczenie tylko informacyjne. A tym, co w tytule wystawy było ważne, to imię i nazwisko jej autora oraz słowo: **t w ó r c z o ś ć**.

Są na wystawie dzieła powstałe na początku drogi, zwłaszcza te pełniące rolę swobodnych ambasadorów dwóch wspomnianych wystaw. Decydujący udział miały jednak prace z lat ostatnich. Oglądając je pytałem sam siebie: Co, oprócz stylistycznych cech wystawionych dzieł, kształtuje klimat wystawy, jej oczywisty ład, autentyzm świata, który komponują obrazy, rzeźby, rysunki. Przypomniałem sobie myśl Profesora wypowiedzianą w wywiadzie, którego udzielił mi przed paru laty. Interesował mnie jego pogląd na bardzo wówczas ważną kwestię w procesie integrującej się Europy. Pytałem o „małe ojczyzny”. Sens uzyskanej odpowiedzi zanotowałem tak: „Nie ulegam mitowi «małych ojczyzn». Ojczyzna nie jest ani mała ani duża. Jest jedna – jeśli jest! Są w niej miejsca smakujące jak kęsy chleba wzięty do usta po przeżyciu głodu. «Małych ojczyzn» jednak nie ma, podobnie jak nie ma bliższych i dalszych mam. Matkę mamy jedną. I niech już tak pozostanie. Nie tworzymy słów bez potrzeby. Nie wynosimy ich na ołtarze, bo oderwane od zielonego drzewa życia zamieniają się we frazesy i szleszczą jak suche liście”.

W rzeczywistości opisanej słowem ojczyzna – ojcowizna artysta znajduje tematy, niekiedy tylko inspiracje do tworzenia dzieła. Roli jaką Stanisław Wiśniewski pełni w sztuce nie można oddzielić od jego obecności w innych sferach polskiego życia. Doskonale zna malarstwo europejskie i twórczość tych artystów, dzięki którym możemy mówić o oryginalnej sztuce polskiej. Znamy opór, jaki stawiał próbom zagłaskania komplementami sztuki J. Malczewskiego oraz upupienia twórczości Stanisława Wyspiańskiego, zwłaszcza „przy okazji” setnej rocznicy jego śmierci. Z pasją udowodniał, że każda praca tego „najbardziej polskiego z polskich artystów” jest wartościową oryginalną i autonomiczną.

One stworzyły świat rzeczywisty, dzieło zdolne od samodzielnego istnienia. To nie są stylizowane ornamenty roślinne, to nie są sentymentalne portreciki dzieci.

Wielkie myśli Wyspiańskiego: „Teatr mój widzę ogromny”. „Chłop potęgą jest i basta”, „Umierać musi, co ma żyć” – dotykają istoty ludzkiego bytowania. Pamiętamy je i powtarzamy, bo są nam bliskie. Są esencją polskiej egzystencji. Bywa, że spiera się z Wyspiańskim, lecz świadomie, z wyboru przebywa w kręgu jego myśli, w klimacie jego sztuki. Nie papuguje pisarstwa Wyspiańskiego, rozumiejąc wartość i misję jego słów. Sam pisze i wypowiada się publicznie. A eseje o Jonaszu Sternie, czy Jerzym Panku dowodzą, że i w pisarstwie osiąga niekiedy szczyty. Wystawa, o której tu piszę, dowodzi, że dla Stanisława Wiśniewskiego, po pięćdziesięciu latach twórczego wysiłku, walor obrazu tkwi w tym, że jest rzeczywistością wykreowaną tak, iż stała się autentyczna, zdolna do samodzielnego istnienia. Nie to jest ważne co wybrał, jako temat, bo obraz najpierw i przede wszystkim przedstawia malarza, jego wizję świata, kreację części tego, co zawiera określenie „naturalne środowisko człowieka”, a krócej i trafniej „kultura”. Gdy obraz istnieje jako fakt artystyczny przestaje mieć znaczenie czy jest realistyczny czy symboliczny, impresjonistyczny czy też ekspresjonistyczny. Ważne, że jest autonomicznym światem zdolnym do samodzielnego istnienia. Gdy rodzi się: obraz, rzeźba, rysunek to razem z nim pojawia się jego zdolność trwania i wtedy podziwiamy go i chronimy jako dobro. Obraz to nie konwencja, szkoła czy proteza jakiejś tam teoryjki lecz jego doskonałość, zdolność do dialogu, do wywołania przeżyć, które z ludzi pojedynczych czynią wspólnotę. W dziełach przedstawianych na jubileuszowej wystawie jest wszystko: przedmiot lub jego znak, siła człowieka albo jego kruchość, potęga czynu lub jego echo. W sztuce Stanisława Wiśniewskiego istnieje przede wszystkim sprzeciw wobec brzydoty. Jest w niej także szansa zadowolenia się człowiekiem w kosmosie czterech żywiołów. To pozwala bym zapytał: Czy istnieje taki rodzaj ludzkiej aktywności, w którym człowiek bywa tak twórczy jak w sztuce?

Dotknąłem już lecz nie rozwinąłem kwestii zasugerowanej już w tytule recenzji. S. Wiśniewski to artysta, lecz także pisarz, kolekcjoner, znawca muzyki, człowiek polityki, uczestnik kajakowych wypraw i wędkarz. Włada czterema językami. Jest historykiem i znawcą militariów – po prostu człowiekiem wielu ról.

Po krakowskim Rynku wędruje jak Sokrates po Agorze. Malarz i pisarz jest świadom ryzyka związanego z tą wszechstronnością. Wie, że ważną dla obywateli miasta i dla gości postacią stał się wtedy, gdy miał odwagę być sobą, zarówno w tym co robi, jak i w tym co mówi. Jego obrazy, rzeźby, rysunki, ale także to, co pisze, nabierają znaczenia, gdy przekonują innych, jeśli myśli wywołują współbrzmienia, bo wtedy uczestnik dialogu odnajduje zachętą do refleksji.

Jubileuszowa wystawa przekonała jak wiele energii tkwi w dziełach, które na niej zgromadzono. Dwa wielkiej klasy portrety malarskie Zbyszka K. i Jana Szancenbacha, pejzaże ściśle przylegające do zacytowanej wcześniej myśli o ojczyźnie, portrety rzeźbiarskie, zwłaszcza przyciągająca uwagę głowa Mojżesza i Czyngis-Chana, budząca podziw głowa M. Koniecznego, zniewalający „Portret żony” – rzeźba jak pozostałe doskonała, lecz także zdolna do zajęcia miejsca w każdej, wielkiej galerii. Wszystkie te prace zachęcają do dwóch końcowych uwag.

W pierwszej prośbę, by w wystawach następnych (a jubileuszowych może być jeszcze kilka) znacniejsze miejsce zapewnić rysunkom. Przede wszystkim rysunki są w warsztacie Profesora antycypacją tych treści, którymi karmi się literatura, zwłaszcza poezja, eseje i nowele. Czym taka bogatsza obecność rysunków stanie się dla przyszłych widzów zapowiada umieszczony także w katalogu rysunkowy portret żony, ciepły i serdeczny, interpretujący jej osobowość wnikliwie i ciekawiej niż mogłaby to zrobić opowieść filmowa.

*Dokończenie na III str. okładki*



---

# FORUM

## FILOZOFICZNO-LITERACKIE

---

Maria SZYSZKOWSKA

*Z perspektywy filozofa*

### Polskie absurdy

---

Jest tak wiele absurdów w naszej rzeczywistości ostatnich lat, że wymienię tu jedynie niektóre z nich. Otóż niedawno Lech Wałęsa wystąpił z propozycją wprowadzenia zakazu strajków, a nie muszę dodawać, że był dawniej ich współorganizatorem. Prawo do legalnego oporu wobec władzy państwowej – nazywane od niedawna prawem do nieposłuszeństwa obywatelskiego – pełni istotną rolę w obronie wolności i praw socjalnych obywateli. Nasze media bagatelizują przejawy oporu jednostek wobec aktualnych przejawów niesprawiedliwości. Mniejszości krytycznie nastawione do obowiązujących praw, bądź realizacji przepisów prawnych – nie są słyszalne.

Sugeruje się za pomocą mediów obraz nowej Polski, która przyniosła społeczeństwu wolność, a nawet dobrobyt. Absurd polega na tym, że zarazem zachęca się jednostki bardziej przedsiębiorcze do opuszczania kraju w celu „poszukiwania chleba”. Sto lat temu pisał o tym Henryk Sienkiewicz. O braku wolności światopoglądowej powszechnie wiadomo.

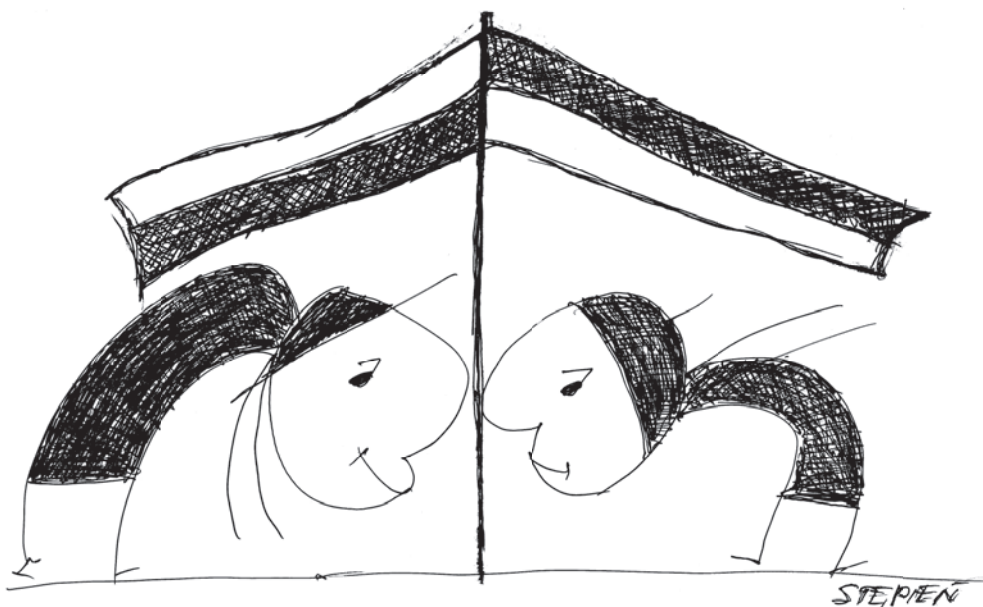
Nie bacząc na stan budżetu państwa, powołuje się beztrudno rozmaite komisje sejmowe, które w rzeczywistości dublują pracę organów ścigania. Kto uwierzy, że zeznający powie przed komisją więcej niż prokuratorowi. Do tej pory żadna z komisji sejmowych nie przyczyniła się do ujawnienia tajonych przed społeczeństwem przestępstw. Ten problem kojarzy mi się z IPN-em. Lewica nie protestowała przeciw powołaniu tej instytucji. Ponadto wymaga ona dużych nakładów finansowych z budżetu. Jeżeli już IPN istnieje i odkrywa utajnione dotąd nazwiska współpracowników dawnych władz bezpieczeństwa i jeżeli uważa się to za naganne – mimo że były to legalne organa PRL – to zadaję pytanie: czy nie szkoda zaangażowania osób pracujących w IPN w ujawnianie tych faktów, skoro nic z tego nie wynika? Na przykład współpracujący kiedyś biskupi nadal na ogół pełnią swą funkcję. Podobnie współpracujący profesorowie uniwersytetów mają się w nowej rzeczywistości bardzo dobrze, a nawet bywają cenionymi ekspertami przez przedstawicieli nowej władzy wywodzącej się z Solidarności. Po co więc siły Solidarności utworzyły IPN?

Dopuszcza się w naszym obecnym ustroju oficjalnie lobbing, a więc oddziaływanie na polityków grup interesu. Jest oczywiste, że faktycznie lobbing wykorzystują ludzie najbogatsi. Interesy ludzi biednych pozostają wciąż na marginesie zainteresowań rządzących. Warto też zaznaczyć, że interesy całej ludzkości także są pomijane.

Mam tu na myśli brak zakazu udziału Polski w wojnach. Nie musimy być obecni na toczonych wojnach. Zgodne z interesem Polaków i całej ludzkości, nie jest przeznaczanie środków finansowych na zbrojenia; mogłyby one rozwiązać problem biedy oraz ratować osoby chore.

Mimo kryzysu finansowego nie padają u nas słowa krytyczne wobec neoliberalnych teorii maksymalnej redukcji państwa. Brakuje odważnych ekonomistów, którzy by wykazywali sensowność mieszanej formy własności. Ponadto epoka globalizmu miała być zespolona z uprawnieniem do publicznego funkcjonowania różnorodnych poglądów. Faktycznie w mediach słyszy się głosy domagające się jedynie przyspieszenia procesów prywatyzacji wspólnego majątku. I nikt nie protestuje wobec dalszej prywatyzacji, mimo że nie przyniosła – poza doraźnymi – żadnych trwałych korzyści społeczeństwu.

Interesy wielkiego kapitału dominują w Polsce oraz wciąż wynosi się pod niebiosa niezgodną z rzeczywistością teorię wolnego rynku. Prawo pracy także sprzyja, poprzez nowe przepisy, przedsiębiorcom. Tak zwane antykryzysowe przepisy pozwalają w interesie przedsiębiorców na zatrudnianie terminowe oraz tzw. uelastycznienie czasu pracy. Innymi słowy, dla dobra przedsiębiorców pracownik może być w pewnych okresach zatrudniany nawet przez kilkanaście godzin na dobę, albo wyrzucony na bruk.



Rys. Jan Stępień

# Dzwony prawosławia

Na święta Profesor postanowił pojechać w swoje rodzinne strony pod Puszcze Białowieską, więc Przyjaciela zaprosił nieco wcześniej na wielkanocne jajeczko. Piękne były te ciemnozłote jaja, ugotowane w niezbyt gęstym wywarze łusek cebulowych i mogłyby stanowić jedynie dekorację stołu, gdyby Przyjaciel nie poprosił o spróbowanie ich, to znaczy, czy jest równie smaczne to, co jest ładne.

Profesor zgodził się, pod warunkiem jednak zachowania pewnej procedury, którą nazwał słowiańską: spożycie tego jajka, które zostanie pokonane, czyli rozbite w walce na skorupki. Wyjaśnił, że chodzi o moc skorupki na czubku jajka, w odpowiednim uchwycie dłoni, odsłoniętego na tyle, by umożliwić ograniczony atak przeciwnika, uderzającego z góry również czubkiem jajka, bo w tym miejscu jest ono najmocniejsze. Przedtem poddawane bywa próbie jakości, a więc obstukaniu czubkiem o zęby, by sprawdzić po dźwięku, czy nie jest pęknięte, czy ma skorupkę dostatecznie zwartą, by stanąć w szranki. Pokonane przechodzi na własność zwycięzcy i wtedy dopiero kierowane jest do konsumpcji.

- Ha - zawołał Przyjaciel. - Co człowiek, to obyczaj! Domyślam się, że przynosisz to ze swojej wschodniej Polski. Tłuczmy się zatem!

- Acz ostrożnie - potrzymał rozpęd Przyjaciela Profesor. - Jak katolik z prawosławnym. Ekumenicznie.

Gdy wypróbował na zębach moc złotych jajek, Przyjaciel postawił na stole butelkę wina i pogodnie, jak przystało na komitowę, oświadczył:

- Zgoda. Prawosławne jajko i katolickie wino.

- Mszalne? - zdziwił się Profesor.

- Ależ nie! - zaprzeczył Przyjaciel. - Zwyczajne. No, może niezupełnie, bo nie owocowe, nie jabcok, nie „uśmiech sołtysa”, lecz gronowe Pinot z polskich nadwiślańskich winnic.

- To dopiero! Zachwyił się Profesor. - Istna grecka agape. I to dziś, gdy święta będą wspólne.

- Zaiste! - dopasował się nastrojem Przyjaciel. - A nie mogłyby one być zawsze razem?

Profesor zmarkotniał.

- Ba - wybąkał. - Ba... Wszystko jest możliwe, a nie spełnia się... Religia stała się dziwnie polityczna... A chrześcijaństwo niechrześcijańskie.

Przypomniał sobie to zjawisko, dziś coraz rzadsze w pamięci polskiej, wytrącające z harmonii spraw ludzkich i boskich, z bytów prostych ku duchom przeżyć wyższych, współtworzących, współodpowiedzialność naszą nie tylko za wczoraj, ale i za czas bieżący. Opowiedział o tym Przyjacielowi.

- Są takie noce w stolicy, kiedy z jej gęstej czerni nad placem Saskim unosi się ku niebu bez gwiazd luna czerwona jak wstyd Pana Boga. Gdy się jej dobrze przyjrzeć, zobaczyć można lśniąca kopuły świątyni i dzwonnice niczym wieżę Giotta, których wielkość we Florencji do dziś króluje nad miastem, a po którym na placu warszawskim nawet ślad nie pozostał. Wraz z wolnością narodu obudziły się demony polskie

i wysadziły w powietrze święty chram chrześcijański narodu sąsiedniego. Bo tam sąsiedniego! I swojego własnego o wschodnim obliczu!

- O czym ty mówisz, Profesorze? - zaniepokoił się Przyjaciel, szykując się do ataku jajkiem - Jaka świątynia, jakie demony?

Zawrócił tedy Profesor na trakcie opowieści swojej i powiódł Przyjaciela przez cmentarz widm historycznych, wśród których dzwony prawosławia niosły się za carskim *czinem*, by potem - miast stworzyć nową *konstantynopolską* kulturę - dać się rozbić iście bolszewickiemu młotu zaczadzonej niepodległości Polaków.

- Tak jajko jajko rozbija - zauważył melancholijnie Przyjaciel. I dodał zaraz z błyskiem w oku: - Ale zjemy je potem razem, co?

Profesor się roześmiał. I przypomniał sobie jeszcze, że w Warszawie są takie noce, kiedy blok mroku nad placem pozostaje nienaruszony, ale daje się usłyszeć dalekie chóry cerkiewne, lecz nikt nie jest pewny skąd tak niebiańsko dobiegają: z podziemi soboru, który co pewien czas zmartwychwstaje, spod chmur, których czarne buklaki pieśni święte przechowują, czy z rotundy pobliskiej katedry ewangelickiej, gościny muzyce cerkiewnej udzielającej. Nikt nic nie widzi, ale to wtedy właśnie z grobu pod Ogrodem Saskim wychodzą nieznanymi żołnierze i przez rumowisko na placu przedzierają się do kamiennego krzyża po drugiej stronie z liturgiczną skargą na Marszałka, który tak bezradnie stanął obok... Żaden instrument nie rozpląkał się w tym trenie, jedynie dzwony z obalonej wieży brzdęknęły cicho przeciwko niewiernym... Gdzie jest ten drugi krzyż, gdzie?

- Chryste! - westchnął Przyjaciel. - Chcesz powiedzieć, że Bóg przestał lubić swoich wybrańców?

- Ani chybi - odrzekł Profesor.

- Nawet naszego papieża? - dopytywał się Przyjaciel niespokojnie.

Profesor zawahał się.

- No nie - odpowiedział w końcu. - Ten jest z innego świata.

- Są i tacy? - Przyjaciel nie wydawał się w pełni przekonany.

- Zdarzają się - zawyrokował Profesor niezbyt poważnie i rozbił swoje jajko o jajko Przyjaciela. - Jedz i pij za zdrowie tych, którzy się godzą.

---

## Lamberto Pignotti z „Minibajek”

### *Krotka historia powszechna*

*Była pewnego razu historia, która opowiadała o przygodach ludzi niezbyt wyraźnie zarysowanych na tle różnych miejsc i wydarzeń, historia niemal powszechna o tych, co oczekiwali, aż życie, w które wpisywali się na dobre i złe, jakoś się skończy, a historia powie o nich, że żyli długo i szczęśliwie.*



# Kurylukowie

Ewa KURLUK: *Frascati. Apoteoza topografii*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009, str. 338, nlb 4.

Przyznać się muszę, że nową książkę Ewy Kuryluk brałam do ręki z niejakim lękiem. Wydawca w nocie umieszczonej na czwartej stronie okładki uprzedza, że *Frascati* „to w jakimś stopniu kontynuacja *Goldiego*”, poprzedniej książki tejże autorki. Obawiałem się więc, czy nie będzie w niej powtórzeń, rozwodnionych multiplikacji wspomnień już czytelnikom zawierzonych. *Goldi* był opowieścią zwartą, przy pozorach gawędziarskiej niemal swobody narracyjnej i skojarzeniowej – rygorystycznie wręcz skomponowaną. Czy nie zagrozi jego integralności jakaś dezintegracja? Dla kurazu poszedłem przed lekturą na wystawę obrazów autorki. I tam również przekonałem się, że Ewa Kuryluk jest i malarką, i pisarką drążącą w głąb i poszerzającą rzeczywistość artystyczną wykreowaną z własnych, intensywnych doświadczeń i przeżyć, dzięki czemu jej twórczość stanowi integralną całość.

W jej książkach nie ma mechanicznych powtórzeń ani nawykowych nawiązań. Myślę, że logika ich narastania opiera się na eksponowaniu – konsekwentnym, a zarazem dyskretnym, w żadnym razie nie natarczywym – pewnych stałych wątków tematycznych i problemowych. Te wątki pozostają ze sobą nawzajem w związkach ścisłych i zdynamizowanych, a w każdym razie zmiennych, co pozwala czytelnikowi oglądać je z różnych punktów widzenia, pod różnymi kątami, przy niejako różnym oświetleniu.

W *Goldim* najsilniej przemówił do mnie wątek matki – ocalonej z getta lwowskiego młodej mężatki rodem z Bielska-Białej, „bieżeńca” w obcym mieście, dosłownie zabranego z ławki na skwerku. Przysiadła na niej po utracie ostatniej kryjówki, bezradna i zrezygnowana. Zajął się nią człowiek zupełnie jej nieznan, przypadkowy przechodzień. Był to Karol Kuryluk, młody jeszcze wówczas człowiek, przed wojną młodociany wręcz założyciel świetnego pisma literackiego „Sygnały” i współorganizator historycznego zjazdu twórców kultury we Lwowie w roku 1936. Tyle dowiedzieliśmy się z *Goldiego*, już tyle i niemal tylko tyle. *Goldi* był studium poświęconym analizie dewastacji wewnętrznych dokonanych w kobiecie, która przeszła przez holocaustowy koszmar, na szczęście nie do końca; ale ktokolwiek się o tę najgroźliwszą groźbę otarł, ulegał temu, co pisarka polsko-izraelska Irit Amiel określa mianem „osmalenia” – rodzajowi nieuleczalnego właściwie, a raczej niezbywalnego oparzenia, porażenia wewnętrznego. Nakłada się ono oczywiście na osobistą wrażliwość „osmalonego”, różną u każdej jednostki, uzewnętrznia się, narasta, destabilizuje każdą ofiarę w szczególności, jej tylko właściwy sposób. *Goldi* był pisarskim zdiagnozowaniem, rozpoznaniem przez córkę matczynego „osmalenia”. Rozpoznania tego dokonywała ona od swego dzieciństwa; stopniowo zmieniała się i dojrzewała w toku tego procesu, w szczególnym kontekście sytuacyjnym rodziny, której wszyscy członkowie (doliczyć do nich trzeba jeszcze młodszego brata narratorki) żywili do siebie pełne zaufanie i szczerą miłość. Ale też wszyscy stanęli w obliczu tragedii nierozwiązalnej dla nikogo, bywali sobą nawzajem zmęczeni, miewali siebie dosyć,



chwilami wręcz dochodząc do pragnienia śmierci osoby, która stawiała się dla nich kłopotliwa nie do zniesienia.

Ta śmierć dopada matkę i jej syna w powieści *Frascati*, i otwiera rozdział „wczasowy” – matka z obojgiem dzieci wyjeżdżają na bułgarską riwierę, na wakacje, które dostarczą całej trójce wrażeń wyjątkowo pięknych, ale także powodują kryzysowe wręcz załamanie matki. Powrócić z tych „wczasów” udało się trójce rodzinnej wręcz cudem. Ten rozdział wiąże *Frascati* z *Goldim*, a raczej stanowi między tymi obiema książkami pomost. Dominantą *Frascati* staje się ojciec – „Łapka”, głowa rodziny w najgłębszym rozumieniu tego pojęcia.

Karol Kuryluk w okresie, w którym rozpoczyna się akcja tej powieści wspomnieniowej (bo *Frascati* jest czymś znacznie więcej niż klasyczną powieścią autobiograficzną) jest urzędującym ministrem Kultury i Sztuki. Był nim w latach 1956–1958, czyli w okresie, w którym „władza ludowa” traciła stopniowo szansę na sprawowanie osiągniętego w Październiku przywództwa ogólnonarodowego. I był też „sprawcą” osiedlenia się rodziny w niedużym, jak na „sfery rządowe”, mieszkaniu przy ulicy, która dała książce tytuł, *spiritus movens* powszedniego funkcjonowania tej rodziny. Człowiekiem, który ją założył też w najślabszym rozumieniu tego słowa: bez jego decyzji wzięcia pod opiekę bezdomnej, skazanej na śmierć żydowskiej dziewczyny rodzina ta nigdy nie pojawiłaby się na świecie. I nigdy też, na przekór „osmaleniu” i innym tragicznym obciążeniom losowym nie przeżyłaby tych szczęśliwych chwil, jakich doznała na *Frascati*.

*Apoteoza topografii* – książka Ewy Kuryluk jest przejmującą opowieścią o okrucinach rodzinnego szczęścia, jakie w tym malowniczym, zacisznym zaułku warszawskim udało się przeżyć kilkorgu ludziom kochającym się miłością kryształowo czystą i osaczonym przez niepokonalne moce. Ale dla mnie jest przede wszystkim pięknym portretem ojca autorki – Karola Kuryluka. Nikt z jego bliskich nie wiedział przez całe lata, że jego żona nie była jedyną ocaloną z holocaustowej zagłady; po latach dopiero dowiedziano się, że równoległe z nią ukrywał całą kilkunastoosobową rodzinę – jego podopieczni nie wiedzieli o sobie nawzajem ani w latach wojny, ani później, dopiero procedury związane z zaliczeniem Karola Kuryluka do grona „sprawiedliwych wśród narodów świata” i i posadzeniem mu drzewka w ogrodach *Yad Vashem* pozwoliła im dowiedzieć się o jego, wymagającym nie tylko heroicznej odwagi, ale i mrówczej wręcz zapobiegliwości w zdobywaniu środków do życia dla tych osób. Do dziś nie udało się autorce powieści dociec, jak głęboko sięgało zaangażowanie ojca w podziemną działalność, w struktury ruchu oporu, który to ruch dostarczał mu przecież środków niezbędnych do ocalenia całego grona ludzi.

Wiedziała natomiast i widziała autorka zarówno „organicznikowską” – chciałoby się powiedzieć – działalność Karola Kuryluka jako założyciela i redaktora naczelnego najpoważniejszego w pierwszych powojennych latach tygodnika literackiego „*Odrodzenie*”, późniejszego szefa Państwowego Wydawnictwa Naukowego, wydawcę z prawdziwego zdarzenia. Znała jego przyjaciół – nieodżałowanej pamięci bibliofila i edytora Rafała Gliksmana. Miała też możliwość oglądać w domu rodziców gości klasy tak niezwyklej, jak jednego z największych aktorów angielskich wieku XX, *Lawrance Oliviera* i jego żony, czy legendarnego pieśniarza francuskiego *Yves Montanda*. Była wówczas zbyt młodziutka, by słuchać ich rozmów; dopiero po latach, wędrując jego śladami, uzmysłowiła sobie, kim był Karol Kuryluk. I mogła stać się już świadomym świadkiem jego odsuwania w cień – ambasadorowanie w Wiedniu było rodzajem zesła-

---

Dokończenie na s. 65

# WŚRÓD KSIĄŻEK

Max SCHELER

*Resentiment a moralność*, tłum. Bogdan Baran,  
Aletheia, Warszawa 2008.

## Resentyment wiecznie żywy

Zewnętrzny obserwator życia społecznego w naszym kraju łatwo dojść

może do przekonania, że wielki pożytek przyniosłaby narodowi lektura książki Maxa Schelera *Resentiment a moralność*. Praca ta niewiele straciła na aktualności od czasu swego pierwszego wydania w 1912 roku.

Autor – niemiecki filozof – nawiązując do myśli Fryderyka Nietzschego – klarownie opisuje zjawisko resentymetu. Jest to mianowicie poniżanie wartości (tj. czegoś, co przeżywamy jako cenne) ze względu na jej niedostępność. Ilustracją jest bajka o lisku: ma on wielką ochotę na słodkie winogrono, ono jednak wisi na krzaku zbyt wysoko; sfrustrowany i upokorzony niedosięgiem, niemożnością zdobycia wymarzonego celu lisek zaczyna krytykować przedmiot swych pragnień: że winogrono kwaśne, że zepsute i do tego jakieś małe.

Resentyment rodzi się w momencie upokorzenia własną niemocą. Bardzo chcę być bogaty, a nie jestem, poniżam więc bogactwo: „Wszyscy bogaci to złodzieje”. „Te tanie spodnie są jeszcze lepsze niż te drogie” – powiada człowiek, którego nie stać na lepsze. „Zupa w barze mlecznym (świeżutka!) lepsza niż gambasy w Bristolu”.

Nie mam dobrego wykształcenia – poniżam wykształciuchów, profesorów, salony, koła, kółka, kręgi, towarzystwa, i samo wykształcenie akademickie uznaję za aberrację, profesorkowatość, itp. Jestem w podeszłym wieku i nie umiem się z tym pogodzić – „młodość to głupota, naiwność i ślepotą”. Widzę obściskującą się na ławce parę – potępiam z całą surowością rozwiązłość młodzieży, ostatecznie, zauważa niemiecki filozof, zaspakajając w tej formie pruderii, własny popęd seksualny.

Resentyment ma swoją dynamikę rozwojową. Scheler opisuje jej etapy. Najpierw pojawia się zazdrość: ktoś ma, a ja nie mam, co przeżywam tak, jakby mnie tego pozbawiono. Sama zazdrość niekoniecznie jednak prowadzi do resentymetu. Może mobilizować, być inspiracją do walki, postępu. Dopiero poczucie definitywnej bezsilności popycha ku rezygnacji, rodzi rozgoryczenie, pretensję, niechęć i agresję. Z czasem uczucia te podlegają uogólnieniu: poniża się już nie tylko posiadacza wartości, ale samą wartość. To już nie oligarcha jest zły, bo bogaty, ale w ogóle bogactwo to grzech, pustka, płycizna, wiocha itp.

Na tym etapie popadania w resentyment delikwent pełen jest negatywnych emocji, niechęci, pogardy, chęci ubliżania, wbrew własnej woli niekiedy, co nie jest na dłuższą metę uczuciem przyjemnym. Emocje takie stają się nie do zaakceptowania. To wielki kłopot choćby dla osób uważających się za religijne, gorliwe w swej pobożności, mające kochać ludzi miłością Jezusa. Analogiczny problem dotyka ludzi gorliwych niereligijnie, świecko i społecznie zaangażowanych na rzecz lepszej przyszłości ludzkości. Ciężko żyć z duszą pełną goryczy.

Możliwa jest jednak odmiana: pretensja, niechęć i nienawiść znikają – zastępuje szlachetnym współczuciem dla godnych politowania niedouczonego bogaczy, zaślepionych żądnych władzy polityków, czy też pysznych i zadufanych

w sobie profesorków. Współczucie miast pogardy – oto ostateczny owoc rozwoju resentymetu. W rezultacie pojawiają się uczucia łagodne, słodkie, serdeczne, nieba nieszczęśnikowi chcące przychylić.

**Resentyment dojrzały, gdy zrasta się osobowością człowieka, staje się trwałą iluzją: zasadniczym sposobem postrzegania świata. Nie jest już zakłamaniem świadomym, jest zakłamaniem pierwotnym, działającym immanentnie.** Nikt tutaj nie udaje, ale szczerze jest przekonany co do godnego pożałowania stanu ludzi żyjących pełnią swych witalnych sił. Autentyczne jest współczucie osoby zatopionej w resentymentcie, skierowane ku biednej ludzkości goniącej za światowością, zniewolonej żądzą posiadania, prestiżu i władzy. Szczerza jest modlitwa o ich nawrócenie, autentyczna troska o wieczne zbawienie.

Czy więc jest jakiś ratunek przed popadnięciem w takie zakłamanie, które prowadzi do zupełnej zatraty kontaktu z rzeczywistością? „**Tak**”, **powiada Scheler, możemy chronić się przed resentymentem. Ocaleniem jest akt rezygnacji, uznania własnego ograniczenia, przyznania się przed sobą, że rzecz uprawniona mnie przerasta.** Mam ambicje polityczne a mało talentu – rezygnuję. Mam ambicje naukowe i niewiele zdolności i woli pracy – rezygnuję, itd., itp.

Skąd jednak Nietzsche w całej tej historii? Otóż, on jest odkrywcą resentymentu. Pierwszy go opisał i wskazał na źródło – jest nim, powiada, chrześcijaństwo, nauka Jezusa. To ona z cnoty zrobiła wadę, a wadę nazywa zaletą. Ewangelia zakłamała wszystkie wartości. Godne pochwały stało się nadstawianie policzka, oddawanie płaszcza, ustępowanie, życiowa nieudolność i miernota, wycofywanie się i pochylanie głowy. Wartości witalne w tym kontekście okazują się godne pogardy: bogactwo i wpływ, powodzenie u kobiet, ekspansja polityczna czy intelektualna, tego wszystkiego trzeba się wstydzić.

Celem nauki chrześcijańskiej, powiada Nietzsche, jest wmówić ludziom, że są słabi, by w ten sposób zrobić z nich niewolników, zadowolonych z własnego niewolnictwa, przeżywających je jakby to było jakieś duchowe szlachectwo.

Scheler – w tamtym okresie swego życia katolik – polemizuje z tezami Nietzschego. Choć zgadza się, że resentyment jest u chrześcijan zjawiskiem powszechnym, przekonuje jednak, że nie wynika on z istoty nauki Jezusa, lecz jest jej wypaczeniem. Nawet jeśli niektóre teksty Ewangelii bywają podatne na resentymentalną interpretację, sam Jezus, powiada Scheler, nie uczył resentymentu. Przeciwnie, był człowiekiem pełnym wewnętrznej siły, samospełnienia. Był pełen DUCHA. Nie z podziwu dla słabości i choroby, ale z wewnętrznego poczucia mocy płynię Jego wezwania do oddawania płaszcza i nadstawiania policzka.

Pewny swej wewnętrznej siły człowiek nie będzie wchodził w drobiazgowy potyczki, oddawał pięknym za nadobne. Jego życie ma własną dynamikę i nie jest wyłączną reakcją na otoczenie. Ma własny rytm, którym nie chwieją zaczepki. Aktywność własna, a nie reaktywność, zachowania niepodyktowane przez środowisko – oto istota wskazówki Jezusowej.

Skąd jednak taka moc w człowieku? To ów duch osobliwy, miłość chrześcijańska, która, powiada Scheler, kipi z nadmiaru (bo Bóg jest miłością). I w przeciwieństwie do miłości w starożytności greckiej, gdzie była ona towarem deficytowym, nie boi się zejść, nie boi się ubrudzić, nie boi się straty, bo ma siebie w obfitości. Jest wolna od małoduszności.

Odsłania się tutaj aspekt teologiczno-filozoficzny rozważań Schelera. Jest jeszcze kontekst psychologiczny: ów duch sprawia, że niezachwiane jest w człowieku spontaniczne i bezrefleksyjne (niewydumane) poczucie wartości własnego życia. Pierwotnym, źródłowym spojrzeniem na świat jest niereaktywne, niedefensywne poczucie wartości siebie.

Jakże pozytywny mógłby być wpływ religii, gdyby ułatwiała ona takie spontaniczne przeżywanie własnego losu! Zresztą o duchowym (boskim) pierwiastku w człowieku słyszymy nie tylko w chrześcijaństwie. Podobnie, choćby buddyzm chce być drogą odkrywania przynależności do bezmiaru boskości (co w naturalny sposób podnosi na duchu).

**Wszystkie te filozofie łączą przekonanie, że człowiek jest w centrum świata, że jest najważniejszy, że zawsze jest celem i nigdy nie może być środkiem – by przywołać kantowski imperatyw.** Ku człowiekowi mają prowadzić wszystkie ścieżki. W pewnym sensie jest on więc nowym Rzymem. To byłby już piąty. Miejmy nadzieję, że ostatni.

Tadeusz BARTOŚ

Geza VERMES \_\_\_\_\_  
*Autentyczna Ewangelia Jezusa*, Kraków  
2009, s. 494.

## Dociekania autentyczności Jezusa

Wydawnictwo *Homini* udostępniło czytelnikowi polskiemu kolejną książkę

Gezy Vermesa, emerytowanego profesora Uniwersytetu Oxfordzkiego. Pierwsze wydanie angielskie pochodzi z 2003 roku. Na naszym rynku księgarskim dotychczas ukazały się tegoż Autora: *Jezus Żyd: Ewangelia w oczach historyka* (2003), *Kto był kim w czasach Jezusa* (2005), *Twarze Jezusa* (2008). Wszystkie te dzieła charakteryzuje jeden zasadniczy motyw: dociekanie autentyczności Jezusa, jego nauczania oraz praktycznych poczynań.

Vermes nie jest bezkrytycznym apologetą tego wszystkiego, co w ciągu wieków nagromadziło się w różnych pismach i opowieściach o Jezusie, w tym także w *Ewangeliach* synoptycznych, apokryfach (tj. pismach „ukrytych”), pseudoepigrafach, niekanonicznej *Ewangelii* Tomasza, zwojach znad Morza Martwego, pismach żydowskiego filozofa Filona Aleksandryjskiego (żyjąc w I w.n.e. nigdy nie wspomniął ani Jezusa, ani Kościoła chrześcijańskiego, w przeciwieństwie do Józefa Flawiusza), rozlicznych interpretacjach kościelno-teologicznych itp. Pisze on: „Podobnie jak wszystkie źródła starożytne, *Ewangelie* muszą zostać poddane krytycznej analizie, jeśli mamy uchwycić rzeczywistość i prawdziwe znaczenie zawartych w nich wydarzeń i nauczania. Wzorcowa analiza powinna odnosić się do oryginalnego języka nauczania Jezusa, który mówił po aramejsku” (s. 13).

Tymczasem wszystkie cztery Ewangelie przetrwały wyłącznie w języku greckim. Trudno dociec zatem, czy wiernie oddają słowa Jezusa wypowiedziane w języku aramejskim wyłącznie do Żydów. Wersja grecka skierowana była natomiast do odmiennej kulturowo społeczności hellenistycznej. Z powodów mentalnych musiała ona ulec przeto rozmaitym modyfikacjom. A nadto, najstarsza *Ewangelia* Marka powstała prawdopodobnie w latach 70–75 n.e., zaś Mateusza i Łukasza – pomiędzy 80 a 100 r.n.e., czyli sporo lat po śmierci Jezusa. Można więc zasadnie wątpić w autentyczność i bezstronność ustnych przekazów słów Jezusa oraz opisów jego cudotwórczych poczynań.

W procesie dociekania autentyczności rozlicznych wypowiedzi Jezusa oraz przypisywanych mu czynów Vermes obrał swoistą metodę. W dziewięciu rozdziałach monotematycznych przywołuje i porównuje sformułowania zawarte w róż-

nych dokumentach. Na tej podstawie, w wyniku drobiazgowej i wszechstronnej analizy, w tym hermeneutycznej, wykazuje zarówno zawarte w nich sprzeczności, jak i zbieżności. Zdecydowanie eliminuje wyrażenia sprzeczne bądź niezbyt wyraźne. Za bardziej prawdopodobne uznaje jedynie te, które powtarzają się najczęściej. Vermes jest przy tym świadom, że metoda ta nie prowadzi bynajmniej do absolutnej pewności.

Wypada pamiętać nadto, że Jezus obficie korzystał z przenośni, przypowieści, wyrażeń wieloznacznych. Zdaniem Vermesa, „hiperbolizacja, czyli retoryczna przesada jest znakiem szczególnym poetyckiego języka Jezusa” (s. 430). Świadczą o tym choćby następujące sformułowania: „przecedzanie komara a połykanie wielbłąda”, „nadstawianie drugiego policzka”, „wielbłąd przechodzący przez ucho igielne”, „miłość nieprzyjaciół”, „posyłanie owcy między wilki”, „wydłubywanie oka”, „odcinanie prawej ręki”, „nienawidzenie ojca i matki”, zakaz odnoszenia pojęć „ojciec” i „dobry” do kogokolwiek z wyjątkiem Boga itp. Nawet gdyby były one wysoce prawdopodobne, stwarzają poważne kłopoty interpretacyjne. Wszak, „Jezus nie był ani filozofem, ani systematycznym teologiem, toteż nie ma co się dziwić, że nie pozostawił żadnego szczegółowego wyjaśnienia koncepcji” (s. 297) np. „Królestwa Bożego”, „Syna Człowieczego” itp. Był on tylko „egzystencjalnym kaznodzieją, który starał się przekonać swych uczniów, by zmienili swe życie i współpracowali z nim w wielkim przedsięwzięciu przygotowania drogi do królestwa Bożego” (s. 433).

Wszystko to stwarza poważne trudności w dotarciu do autentycznych sformułowań Jezusa. Swoje stanowisko metodologiczne Vermes wykląda następująco: „W tym poszukiwaniu tego, co autentyczne, zostały określone parametry oryginalnych wypowiedzi Jezusa. Postępowałem najpierw drogą eliminacji i odsunąłem na bok zmiany podyktowane przez Kościół. Potem nastąpiło wyselekcjonowanie przy pomocy kryterium spójności, a częściowo też wielokrotnego poświadczenia, dalszych tematów kompatybilnych i współbrzmiących z pierwszą grupą oryginalnych stwierdzeń doktrynalnych” (s. 431). Na tej podstawie tworzy listę zasadniczych wypowiedzi przypisywanych Jezusowi w *Ewangeliach* (s. 456–476), spośród których wyróżnia pozycje, uznano za na pewno lub prawdopodobnie oryginalne. Z ogólnej liczby 296 za oryginalne mogą uchodzić zaledwie 142. To one właśnie składają się, wedle Vermesa, na *Autentyczną Ewangelię Jezusa*.

Ostatecznie Vermes dochodzi do wniosku, że „podejmowanie jakichkolwiek prób zrekonstruowania dosłownej wersji wypowiedzi Jezusa uważam za stratę czasu. Ten cel jest nieosiągalny, ponieważ pierwotne źródło – jeśli spisany aramejski zbiór wypowiedzi w ogóle istniał – nie jest już dostępne. Wszystko, co posiadamy, to wtórna grecka rekonstrukcja. W dziedzinie takiej, jak ta, przy dystansie dwóch tysięcy lat, pewniki są poza zasięgiem uczonego” (s. 455). I z tym należy się zgodzić. Vermes uważa niemniej, iż „teza, że wobec braku wyraźnych dowodów autentyczności wypowiedzi należy uznać ją za nieautentyczną, jest logicznie fałszywa. Niemożność udowodnienia, że maksyma przypisana przez ewangelistów Jezusowi, faktycznie od niego pochodzi, nie oznacza, iż nie miał z nią nic wspólnego. Oznacza tylko, że nie możemy tego dowieść. Niewystarczająca ilość świadectw nie czyni automatycznie stwierdzenia fałszywym, lecz stawia je pod znakiem zapytania” (s. 455).

Warto zauważyć jednak, że czymś innym jest brak *wyraźnych* dowodów autentyczności jakichś wypowiedzi czy *niewystarczająca* ilość świadectw potwierdzających je niżli przekonanie, iż *mogą one być autentyczne*, choć nie możemy tego dowieść. Podobnie można by twierdzić na przykład, że realnie istnieją takie czy inne impondereabilia, aczkolwiek nie potrafimy tego uzasadnić. W ten sposób na grunt nauki obficie napływałyby nawet najbardziej fantastyczne domysły, pod pretekstem wszakże, iż kiedyś zostaną udowodnione. Dostrzegając niejako tę nie-



konsekwencję Vermes akcentuje myśl, że „jednostki «nieautentyczne» wahają się od prawdopodobnie oryginalnych, lecz w dużym stopniu przeredagowanych, do niemal z pewnością nieautentycznych. Są one przypisywane autorowi lub późniejszemu redaktorowi *Ewangelii*. Nie odzwierciedlają punktu widzenia Jezusa, lecz stanowisko wczesnego Kościoła, dla którego spisano Ewangelie synoptyczne w ich obecnej formie od *circa* 70 do 100 roku n.e., czterdzieści do siedemdziesięciu lat po śmierci Jezusa” (s. 455)

Vermes jest szczególnie krytyczny wobec sformułowań zawartych w czwartej *Ewangelii* Jana (powstała w latach 100–110) oraz w nauczaniu apostoła Pawła. Były one podyktowane potrzebami wczesnego Kościoła chrześcijańskiego w świecie hellenistycznym. Wprowadziły przeto niemało deformacji, które zachowały się do dziś, są nieustannie powtarzane i propagowane jako autentyczne. W rzeczywistości, za wyjątkiem kilku szczegółów, nie wnoszą niczego autentycznego w pojmanie idei i działań Jezusa.

Wedle Vermesa wypowiedzi Jezusa praktycznie nie ujawniają nic w sprawie jego pochodzenia i znacznego wcześniejszego okresu życia. Również w najstarszej *Ewangelii* Marka Jezus pojawia się nagle, znikąd. Niezwykle mało wiemy o jego rodzinie, wykształceniu czy poprzednim życiu zawodowym. Skromne informacje biograficzne, zwłaszcza o dzieciństwie i młodości, pochodzą nie tyle od samego Jezusa, ile od niektórych ewangelistów. Z ich relacji dowiadujemy się, że pochodził z Nazaretu, małego, nawet Józefowi Flawiuszowi nieznanego, galilejskiego miasteczka. Marek i Mateusz wspominają również o Marii, matce Jezusa oraz o cieśli Józefie, jego ojcu. Wymieniają także imiona braci Jezusa: Jakubie, Judzie, Józefie i Szymonie. Ogólnie informują także, że miał kilka siostr. Z krewnymi nie pozostawał jednak w dobrych stosunkach, gdyż chcieli odwieść go od wypełniania powołania. Dla Jezusa, zdaniem Vermesa, „realnymi członkami jego rodziny – matką, braćmi i siostrami – są nie ludzie związani z nim krwią, lecz ci, którzy słuchają słowa Bożego i są gotowi spełniać jego wolę” (s. 434).

Obszarem galilejskiej działalności Jezusa było północne wybrzeże jeziora Genezaret. Były to głównie wioski rybackie. Życie miejskie nie pociągało go. Toteż i grono swoich uczniów, którzy mieli szerzyć dobrą nowinę o królestwie Bożym oraz udzielać charyzmatycznych uzdrowień i egzorcyzmów, wybierał przeważnie spośród niewykształconych galilejskich rybaków.

Pierwsze publiczne wystąpienie Jezusa wiąże się z Janem Chrzcicielem, charyzmatycznym pustelnikiem, który ochrzcił nauczyciela z Nazaretu. Wzywał on Żydów do skrucy, głosił wstrzemięźliwość, unikanie niesprawiedliwości, wyrzekanie się bogactwa itp. Jezus odpowiedział na wezwanie Jana, podejmując jego posłannictwo. Misja Jana Chrzciciela została jednak nagle przerwana. Zarządca Galilei Herod Antypas uwięził go w 29 r.n.e i skazał na śmierć poprzez ścięcie. Nie bez podstaw sądził bowiem, że krasomówstwo Jana Chrzciciela, jego nawoływanie do równości i sprawiedliwości, z dużą sympatią odbierane zwłaszcza przez biedotę żydowską, może doprowadzić do buntu i dlatego przedsięwziął drastyczne środki zapobiegające.

Działalność Jezusa przebiegała w trzech zasadniczych kierunkach: uzdrawianie chorych, uwalnianie ludzi z władzy złych duchów, głoszenie dobrej nowiny o królestwie Bożym. Vermes artykułuje przy tym mało znany fakt: „Jezus nie wahał się głosić, że jego przesłanie jest przeznaczone wyłącznie dla «zagubionych owiec domu Izraela» (...) Mówił surowo zarówno do, jak i o poganach, porównując ich lekceważąco do psów i świń (...) Kiedy wysłał swych uczniów z misją, nie tylko sprecyzował, że mają zwracać się jedynie do Żydów, lecz także wyraźnie zabronił im zbliżania się do pogan, czy nawet wchodzenia na tereny zamieszkiwane przez Samarytan (...) Jedyny logiczny wniosek, jaki można wyciągnąć w oparciu o te przesłanki, to stwierdzenie, że Jezus interesował się tylko Żydami, ponieważ jego

zdaniami obywatelstwo królestwa Bożego było zarezerwowane tylko dla nich” (s. 436). A zatem rozszerzenie chrześcijaństwa poza diasporę żydowskie to dzieło niektórych bezpośrednich lub pośrednich uczniów Jezusa, a zwłaszcza apostoła Pawła. Dlatego, kontynuuje Vermes, panujące dotychczas przekonanie, jakoby Nazareńczyk rozkazał głosić dobrą nowinę wszystkim narodom, „należy wykreślić z listy autentycznych wypowiedzi Jezusa” (s. 414).

Vermes analizuje przy tym rozliczne przypisywane Jezusowi działania związane z uzdrowieniem, wypędzaniem złych duchów, chodzeniem po wodzie, nakarmieniem pięciu tysięcy głodnych za pomocą pięciu chlebów i dwóch ryb itp. Twierdzi on, że ewangeliści wykorzystywali różne legendy ludowe wiążąc je z misją Jezusa w celu podbudowania jego nadzwyczajnej, boskiej mocy. Cudowne nakarmienie głodnego tłumu, zdaniem Vermesa, to „historia (...) wzorowana na precedensie proroka Eliasza ze *Starego Testamentu* karmiącego setkę mężczyzn dwudziestoma bochenkami chleba jęczmiennego”. Chodzenie po wodzie to z kolei stara „ludowa legenda – wyczerpani uczniowie wyobrażają sobie, że ujrzeli ducha idącego po wodzie” (s. 35). Ostatecznie chodziło o podkreślenie znaczenia wiary, bez której nie jest możliwe żadne cudowne ocalenie, uchronienie od niebezpieczeństw itd.

Na podstawie zebranego materiału Vermes twierdzi, że Jezus był barwną, złożoną i bogatą ludzką osobowością (s. 440). Religia ukazana w przesłaniu Jezusa jest prosta, nie zawiera złożonych dogmatów, mitycznych wyobrażeń czy skupionych na sobie mistycznych rozważań, nie zawiera nic abstrakcyjnego, teoretycznego i spekulatywnego (s. 450). Zdaniem Vermesa, „w porównaniu z dynamiczną religią Jezusa wydaje się, że w pełni rozwinięte chrześcijaństwo należy do innego świata. Trudno sobie wyobrazić, jak chrześcijaństwo – z mieszaniną wysoce filozoficznych rozważań na temat Boga Trójjedynego, Janowej mistyki *logosu* i Pawłowego mitu Odkupiciela mówiącego o zmarłym i zmartwychwstałym Synu Bożym, z symboliką sakramentalną i kościelną dyscypliną, która zajęła miejsce wygasłej pasji eschatologicznej, oraz z kosmopolityczną otwartością połączoną z wbudowanym weń antyjudajizmem – i religia Jezusa mogły wypłynąć z tego samego źródła” (s. 450–451).

Wedle Vermesa „Jezus wcale nie był łagodną, słodką, potulną jak baranek postacią z pobożnej wyobraźni chrześcijańskiej” (s. 439). W Jezusie spotykały się nadto różne skrajności. Z jednej strony wiódł na przykład ascetyczne życie wędrownika i radził swym naśladowcom wstrzeźliwość i wyrzeczenie, z drugiej zaś „nie gardził dobrym posiłkiem” i dlatego nie dziwi, że „towarzyski Jezus był szkalowany przez swych krytyków jako «żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników»” (s. 438). Z jednej strony Jezus wyróżniał się serdecznością i współczuciem wobec dzieci i grzeszników, a z drugiej, zdaniem Józefa Flawiusza, mógł wypowiedzieć niecierpliwie i ostre słowa, nazywając Piotra kusicielem, czyli szatanem, a ciężko chorą córkę Syrofeniczanki – szczeniściem, lub określić zarządcę Galilei, Heroda Antypasa, mianem lisa. Potrafił nawet przekląć drzewo figowe, na którym nie znalazł owoców (s. 438–439). Nic dziwnego przeto, że w społeczności żydowskiej stosunek do Jezusa był co najmniej ambiwalentny.

**Misja Jezusa trwała jednak stosunkowo krótko. Vermes twierdzi, że „najrozsądniejszym wnioskiem jest zatem ten, że Jezus rozpoczął swą wędrowną działalność w Galilei po Święcie Namiotów, jesienią jednego roku (prawdopodobnie 29 n.e.) i zginął w Jerozolimie zaledwie sześć miesięcy później – następnego wiosny (30 r.n.e.)” (s. 404). Wedle synoptyków natomiast publiczna działalność Jezusa trwała maksymalnie jeden rok.**

Badania Vermesa dowodzą, że jako wierny Prawu Żyd przebywający w Ziemi Świętej, Jezus był zobowiązany do przestrzegania nie jednego, lecz wszystkich trzech świąt pielgrzymkowych: Paschy (marzec/kwiecień), Święta Tygodni lub Pięćdziesiątnicy (maj) i Święta Namiotów (wrzesień/październik). W każdym z tych

świętych dni musiał uczestniczyć w ceremoniach religijnych w świątyni jerozolimskiej. I rzeczywiście przebywał on tam w dni poprzedzające Paschę. Tuż przed tym świętem został pojmany, osądzony i ukrzyżowany w stolicy Judei (s. 404).

Vermes podejmuje zarazem niezmiernie istotny wątek przyczyn, które doprowadziły do ukrzyżowania Jezusa. Jednak twierdzi tylko, że kilka dni przed Paschą Jezus swoimi wypowiedziami wywołał awanturę na dziedzińcu kupców. Nie precyzuje wszakże, na czym ona polegała. A chodziło przecież nie tyle o pryncypia światopoglądowe, o wypędzanie ze świątyni handlarzy, ile o istotne problemy społeczne, ostatecznie zaś – polityczne.

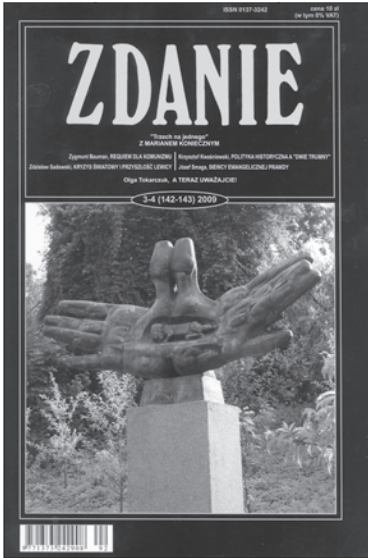
Należy pamiętać, że ziemie żydowskie były prowincją rzymską. Zwykli ludzie żyli w ciężkich warunkach ekonomicznych i politycznych. Musieli płacić wyczerpujące, rozmaite podatki zarówno na rzecz Rzymu, jak i rodzimych kapłanów. Celnicy i poborcy podatkowi byli bezwzględni w egzekwowaniu ceł i podatkowych należności. Panowało faktycznie bezprawie. Namiestnik rzymski był panem życia i śmierci każdego Izraelity Wszystko to wywoływało niezadowolenie większości Żydów. Toteż w środowisku biedoty żydowskiej coraz większy posłuch zdobywały głoszone przez Jezusa hasła o bliskim nadejściu „królestwa Bożego”, w którym nie znajdują się bogaci: „*Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do Królestwa Bożego*”, „*Zaprawdę powiadam wam, że bogacz z trudnością wejdzie do Królestwa Niebios*” (Mt19, 24–25). Natomiast kapłani judejscy ułożyli poprawne stosunki z władzami rzymskimi. Zazdrośnie strzegli swoich pozycji i przywilejów, ukształtowanych reguł i praw. Mieli przy tym poczucie odpowiedzialności za utrzymanie ładu w tej niespokojnej prowincji rzymskiej. Toteż w wystąpieniach Jezusa wyczuli poważne niebezpieczeństwo. Wystraszyli się, że wywołane przezeń zamieszanie może wznieść ogólne powstanie. Nie wątpili, że zostanie ono krwawo stłumione. Sądziли zatem, że ich obowiązkiem wobec narodu żydowskiego jest powstrzymanie Jezusa. Woleli jednak nie działać bezpośrednio. Człowieka, którego uznano za potencjalnie groźnego przywódcę rewolucjonistów, postanowiono przekazać przedstawicielowi świeckiej władzy Rzymu – Poncjuszowi Piłatowi, słynącemu ze swego okrucieństwa. Uznał on Jezusa za niebezpiecznego rebelianta i kazał zgładzić „króla Żydów” poprzez ukrzyżowanie (s. 440–441).

Zdaniem Vermesa, Jezus był całkowicie zaskoczony wyrokiem Piłata. Określając siebie „Synem Człowieczym” (nie używał miana „Syna Bożego” lub „Mesjasza”), sądził, że spełniając misję Boga pozostaje pod jego nieustanną opieką i obroną. Gdy to się nie stało, już na krzyżu wypowiada pełne gorczy słowa: „*Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił*”. Zdaniem Vermesa, „to ostatnie wezwanie Boga przez Jezusa, wyrażone również po aramejsku (...) w obecnej formie wyraża całkowite zaskoczenie. Wypowiedział je człowiek o bezgranicznej wierze, uświadomiwszy sobie nagle, że nie będzie żadnej niebiańskiej interwencji na jego korzyść” (s. 248).

Pomijając wiele innych interesujących wątków myślowych Vermesa, opartych na solidnych badaniach naukowych, na zakończenie warto przywołać jeszcze jedną istotną jego konstatację: „Sprzeczne, czasami diametralnie przeciwstawne stwierdzenia nie wszystkie pochodzą od samego Jezusa. Innymi słowy, *Ewangelie* synoptyczne w swej obecnej formie stanowią dopasowaną, uzupełnioną i poprawioną wersję – gruntownie przeredagowane wydanie – pierwotnego nauczania Jezusa. Słowa, idiomy i obrazy, które galilejski nauczyciel z I wieku n.e. kierował do swych rodaków i współwyznawców, zostały przeredagowane w *Ewangeliach*, aby pasowały do zupełnie innych odbiorców, przepojonych myślą hellenistyczną, w greckojęzycznej części Cesarstwa Rzymskiego. Wskutek tego teraz od nas zależy rozróżnienie pomiędzy przesłaniem prawdziwym a narostym” (s. 405).

**Włodzimierz LEBIEDZIŃSKI**

# WŚRÓD CZASOPISM



Dwa ubiegłoroczne numery „ZDANIA”, czasopisma Stowarzyszenia „Kuznica, które prawie równocześnie dotarły ostatnio do czytelników, zachęcają do lektury literalnie tekstów wszystkich, co oczywiście nie jest możliwe, ale co świadczy o wartości tego wspaniałego przedsięwzięcia intelektualnego jakim jest to znakomite czasopismo wydawane w Krakowie pod redakcją dr Edwarda CHUDZIŃSKIEGO.

Wizytówką każdego numeru są obszerne zapisy rozmów dziennikarzy z wybranym rozmówcą, którym jest z reguły wybitny uczony, twórca kultury, także działacz społeczny czy polityczny: w najnowszych numerach czytamy kolejno rozmowy z prof. Jackiem MAJCHROWSKIM, cenionym badaczem dziejów najnowszych, ale od wielu lat sprawującym z powodzeniem zaszczytny urząd prezydenta miasta Krakowa oraz znanym rzeźbiarzem, twórcą m.in. pomnika Nike, prof. Marianem KONIECZNYM. Dwie ważne rozmowy – narracje o doniosłych sprawach polskiej przeszłości i współczesności, świadectwo rozległej mądrości, przykład wielkiej kultury, jakże coraz bardziej rzadkiego dobra w otaczającym nas świecie polityki czy biznesu. Odmiennie biografie i zgromadzone doświadczenie, ale nie odległe w istocie od siebie, bo łączy je spoiwo identycznych wartości – ukierunkowanych na tworzenie dobra i budowanie ludzkiej solidarności.

W świat doniosłych spraw współczesnych wprowadzają m.in.: Henryk DOMAŃSKI, Hieronim KUBIAK, Marcin KULA, Władysław MARKIEWICZ, Andrzej ROMANOWSKI, Marian STĘPIEŃ, Janusz TAZBIR, Andrzej WALICKI i wielu innych, a wśród nich wybitna pisarka – Olga TOKARCZUK.

Spśród tej znakomitej plejady zwrócimy uwagę jedynie na trzy teksty, aby zachęcić poprzez nie do lektury wszystkich autorów obu numerów. Oto pierwszy z wybranej trójki: prof. Andrzej WALICKI i jego rozważania na temat „polskiej drogi od komunizmu”, tekst imponujący erudycją i logiką wyводу. Czytamy m.in.: „...popaździernikowy <realny socjalizm> PRL nie przybliżył nas do komunizmu, lecz od niego oddalał. A skoro tak, to nazywanie go komunizmem jest jedynie manipulacją negatywnymi konotacjami słowa komunizm. Ustrój PRL nie był komunizmem, ani z punktu widzenia doktryny marksistowskiej, ani z punktu widzenia kierownictwa PZPR lub KPZR, ani wreszcie z punktu widzenia zwykłego zdrowego rozsądku”. Po przypomnieniu analogicznych poglądów innego znanego autora, prof. Zbigniewa Pełczyńskiego z Oxfordu, i w polemice w tej kwestii z Leszkiem Kołakowskim, Andrzej Walicki zastanawia się następnie nad sytuacją współczesnej lewicy i sądzi, wbrew wielu autorom (np. Ralfa Dahrendorfa i Leszka Kołakowskiego), że jest wciąż rozległe pole działania dla lewicy we współczesnym świecie. Co więcej, formułuje postulaty, które mogą być jej spoiwem, a wśród nich: „Nieodwracalność podstawowych zdobyczy *welfare state* (ubezpieczenia społeczne, publiczna służba zdrowia, darmowa edukacja. Domaganie się ich anulacji jest klasycznym wstecznictwem); Niezgoda na <świętość> i aksjologiczną nadrzędność prawa własności prywatnej...); Horyzontalna i wertykalna (pokoleniowa) solidarność społeczna”. A w odniesieniu do warunków polskich m.in.: „Niezgoda na etnocentryzm i politykę nienawiści”; „Protest przeciwko próbom monopolizacji wartości narodowych, w tym zwłaszcza przeciwko próbom konstruowania i narzucania <jednej pamięci narodowej>, wykluczającej tradycje polskiej lewicy”; „Maksymalny obiektywizm w ocenie Polski Ludowej, z szacunkiem dla ludzi dobrze ją wspominających oraz w trosce o to, aby jej zaczerpiony obraz nie stawał się narzędziem prawicowej indoktrynacji”; „Niezgoda na rusofobię, odrzucenie, rzecz jasna, wszelkich form antysemityzmu; Odrzucenie pseudoantykomunizmu, tj. antykomunizmu bez komunistów, służącego dyskryminacji postpeerelowskiej lewicy”.

Warto, aby polska lewica, poszukując dziś dróg swej konsolidacji i sposobu, dzięki któremu wrośnie wydatnie jej znaczenia na scenie politycznej, z najwyższą uwagą pochylała się na tych radach, które udziela jej prof. Andrzej Walicki.

W krąg nieco innych problemów, ale niemniej ważnych dla rozumienia wielu fundamentalnych spraw naszego kraju, są teksty dwóch wybitnych socjologów: Henryka DOMAŃSKIEGO i Władysława MARKIEWICZA.

W tekście zatytułowanym „Ocena klasy politycznej w Polsce” (nr 3–4, 2009) prof. Henryk Domański klasę tę ocenia bardzo surowo. Badania ujawniają przede wszystkim rosnący stopień braku zaufania społecznego wobec tej klasy, jej niedojrzałość, brak kompetencji i niską jakość, choć formalnie rośnie jej wykształcenie mierzone wskaźnikami ukończenia szkół wyższych. Przy wszystkich zastrzeżeniach autor dostrzega – w następstwie tych ocen – proces delegitymizacji polskiej klasy politycznej.

Z kolei prof. Władysław MARKIEWICZ w refleksji na temat pracy zbiorowej wydanej przez IFiS PAN pt. *Inteligencja w Polsce. Specjaliści, twórcy, klerkowie, klasa średnia* po redakcją Henryka Domańskiego zastanawia się nad sformułowanym często pytaniem: czy jest jeszcze inteligencja w Polsce? i tak ujmując ten problem: „Wielu socjologów, do których sam też się zaliczam, dostrzegając procesy profesjonalizacji współczesnej inteligencji nie traktuje owych zaszczości (chodzi o erozję etosu inteligencji – przyp. nasz) jako zapowiedzi rychłego kresu znaczenia tej warstwy, a nawet jej zaniku. Faktycznymi nosicielami etosu bezinteresownej służby społecznej pozostanie zapewne tylko część nowej inteligencji, najprawdopodobniej inteligencji humanistycznej, która tworzą ludzie nauki, kultury i sztuki, w części także ludzie mediów”.

Dwa najnowsze numery „ZDANIA”, których bogactwo treści tu sygnalizujemy, zachęcają nie tylko do myślenia, ale są świadectwem – ponad codziennym jazgotem i miazgą medialnopolityczną – istnienia w naszym kraju ośrodków myśli samodzielnej i poważnej.

**Ksawery PIWOCKI**

## Wacław SADKOWSKI Kurylukowie

FORUM  
FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Dokończenie ze s. 55

nia, ostatnie lata zawodowej działalności wydawniczej Kuryluka omroczyła słynna „afera encyklopedystów” oraz marcowy pogrom antysemitki i antyinteligencji w skali ogólnokrajowej.

Oprócz przejścia tragedii rodziny Kuryluków, które wywołują w czytelniku książki Ewy Kuryluk – zwłaszcza *Frascati*, z zawartymi w niej opisami annihilacyjnej wręcz dyskryminacji prowadzonej w owym okresie wobec pacjentów szpitala psychiatrycznego w Pruszkowie, do którego trafił jej brat – unaoczniają one bezmiar strat, jakie naszemu życiu społecznemu przyniosła zbrodnicza nienawiść wrogów, ale także dzikość serca tych, których los uczynił naszymi współbraćmi, dzielącymi z nami nasze niedole i pomnażającymi je o własne dramaty.

## KRONIKA ŻAŁOBNA

Dnia 31 grudnia 2009 r. opuścił nas na zawsze

### Dr Mieczysław PIETRUSIEWICZ

ceniony historyk oświaty, nauczyciel akademicki przez wiele lat związany z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Słupsku; niemniej ceniony działacz humanistycznego ruchu świeckiego i długoletni prezes Rady Słupskiej Towarzystwa Kultury Świeckiej.

**W Osobie Zmarłego utraciliśmy Kolegę i Przyjaciela o niepospolitym uroku, wielkiej kulturze, duszę towarzystwa i człowieka wielkiej pracowitości. Bardzo, bardzo nam Go będzie brakowało, bardzo brakowało tym bardziej, że wiemy jak bardzo kochał życie i jak chciał, aby trwało ono nie-skończenie. Pozostanie trwale w naszej pamięci i sercach.**

Rada Krajowa TKŚ im. Tadeusza Kotarbińskiego  
Redakcja „RES HUMANA”



---

# KRONIKA

---

**Bielsko-Biała** Podczas Walnego Zgromadzenia Rady Podbeskidzia Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego, które odbyło się 26 lutego 2010 r., jej uczestnicy dokonali podsumowania swej działalności w mijającej kadencji, określili najważniejsze kierunki pracy na najbliższy okres oraz dokonali wyboru władz Rady.

Prezesem Rady Podbeskidzia została wybrana ponownie mgr Anna CZAPLA, znana i zasłużona działaczka społeczna Podbeskidzia.

X.

**Konin** Konińska Rada Towarzystwa Kultury Świeckiej, aktywnie współdziałając ze stowarzyszeniem Ruch na rzecz Nowoczesnej Polski, Rodziny i Społeczeństwa Obywatelskiego, rozwijała w minionym roku i zamierza kontynuować w roku 2010 inicjatywy sprzyjające upowszechnianiu świeckich wartości życia oraz obronie naszego państwa jako państwa neutralnego światopoglądowo.

W tym kontekście wyrażano niepokój na temat działalności silnego ośrodka religijnego w Licheniu, z którego płyną treści nie sprzyjające poszukiwaniu tego co wspólne dla Polaków, treści też godzące w ludzi uznających odmienne niż religijne przekonania światopoglądowe. Postanowiono podjąć w związku z tym stosowne działania wyjaśniające i niwelujące ujemne następstwa tej działalności.

**Mgr Roman SOB CZAK**

Prezes Rady Regionalnej TKŚ w Koninie

---

Władysław LORANC

## PORTRETY HUMANISTÓW

**Stanisław Wiśniewski – artysta-malarz i pisarz**

*Dokończenie ze s. 49*

Dru ga uwaga będzie puentą recenzji. Wyznam, że chętnie bywam na każdej wystawie S. Wiśniewskiego i z podobną ochotą uczestniczę w różnych konwentyklach, gdzie malarz i pisarz umie otworzyć oczy obecnych na to, co ciekawego tkwi także w kostiumie codzienności. Ale o tym lepiej niż moje słowa opowie piękny wiersz W. Szymborskiej poświęcony słynnemu obrazowi Vermera: „Dopóki ta kobieta z Rijksmuseum /w namalowanej ciszy i skupieniu/mleko z dzbanka do miski/dzień po dniu przelewa,/nie zasługuje Świat/na koniec świata/”.

Prawdziwa sztuka odrzuca głupawą myśl hucpiarzy co krzyczą: „Życie jest absurdem”! Sztuka przypomina, że naturą i sensem życia jest jego trwanie, a nie megalomania jednodniowych władców. Ta sztuka przekonuje także nas, że życie ma sens skoro jest w nim miejsce na doskonałość.

---

**DYGRESJE** Krzysztof Teodor TOEPLITZ

*Dokończenie na III str. okładki*

I tu dochodzimy do dopingu. Jest to oczywiście rzecz oburzająca, ale też potężnie podszyta hipokryzją, naszą hipokryzją. Dziś „dozwolonymi” i „legalnymi” w sporcie są preparaty i zabiegi, o których dziesięć lat temu jeszcze nikt nie słyszał – jak np. środki przeciw astmie – a obszar owej „legalności” poszerza się stale.

Antydopingowe wysiłki i ustalenia w sporcie wyczynowym, który narodowe ambicje państw i rządów zamieniają w niewielką wojnę światową, przypominają więc dokładnie ustalenia, które przyjmuje się na wojnie, aby ją „humanizować”. Nie wolno na przykład urywać żołnierzowi nóg „miną przeciwpiechotną”, jak nazywało się to za moich czasów, ale wolno rozpruć go z kałasznikowa lub rozerwać go granatem.

Rzecz gustu.

**DYGRESJE**  
Krzysztof  
Teodor  
**TOEPLITZ**

# *Miłe złego początki*

Sport, a zwłaszcza wielkie imprezy sportowe, służyć mają rozrywce milionów i nie należy traktować ich zbyt poważnie. Podobnie nie należy też zbyt serio traktować tej dygresji. Chcąc nie chcąc jednak nawet przy okazji sportu wpadamy na sprawy poważniejsze. Oto więc Olimpiada w Vancouver, która przez parę tygodni była źródłem naszej rozrywki i sposobem zabicia czasu, zakończyła się przykrym zgrzytem kiedy okazało się, że nasza biegaczka narciarska była jedyną zawodniczką na tej Olimpiadzie, u której odkryto substancje dopingujące, będące przyczyną jej nieoczekiwanie dobrych wyników.

A więc „miłe złego początki, lecz koniec żaloszny”, ponieważ, jak twierdzi przewodniczący Polskiego Komitetu Olimpijskiego, a także Irena Szewińska, członkini Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, przyłapanie na dopingu polskiej zawodniczki rzutuje na całą polską ekipę, psuje nam opinię, pośrednio zaś – ale to bardzo pośrednio – ociera się także o naszą gwiazdę, Justynę Kowalczyk, której zazdrości niejedna rywalka. Wszystko to zaś w sumie, jeśli pociągnąć dalej, pogrąża Naród Polski.

Oczywiście, że łączenie nieodpowiedzialnego ekscesu jednej zawodniczki z etosem Narodu Polskiego jest idiotyzmem, ale przecież samiśmy tego chcieli. Bo przecież nie od dzisiaj wielkie zawody sportowe, olimpiady czy mistrzostw świata, zwłaszcza piłkarskie, przedstawiane są przez media, a także traktowane przez publiczność, jako miniatura wojny światowej, w której nie poszczególni zawodnicy na własną odpowiedzialność ścigają się, biją i kopią, lecz czyni to Polska z Niemcami, Francja z Portugalią, Finlandia z Brazylią, a więc krótko mówiąc jedne państwa z drugimi państwami. Odkąd do sportu wkroczył element narodowy, patriotyczny, prestiżowy – a wkroczył najwyraźniej w czasie słynnej Olimpiady w hitlerowskim Berlinie w roku 1936 – odąd sport wycynowy przestał być tym, czym był on w starożytnej Grecji lub o czym marzył baron de Coubertin, rozumiejąc sport jako szlachetną rywalizację sprawnych fizycznie mężczyzn i kobiet.

Skoro jednak sport przybrał postać rywalizacji między narodami, narody także i ich państwa ze względów prestiżowych poczuły się odpowiedzialne za sport. U nas odpowiedzialność ta sprowadzona została w praktyce do śniadań, zjadanych na wyścigi przez prezydenta i premiera z kolejnymi zdobywcami medali, bo przecież niewiele więcej państwo praktycznie wydaje na sport, są jednak kraje, które łożą na to ciężkie pieniądze. A pieniądze muszą przynieść wyniki.

Investycje w sport mogą mieć wszelakże charakter dwojaki, rozsądny i mniej rozsądny. Rozsądnymi są te, które rozbudowują infrastrukturę sportową dostępną całemu społeczeństwu, a zwłaszcza młodzieży, budowa boisk, kortów, basenów, skoczni i tras narciarskich, ponieważ tylko dzięki tym urządzeniom wyrastać mogą przyszli rekordziści, a także zwyczajni ludzie bez krzywego kręgosłupa.

Podczas igrzysk w Vancouver przeżyliśmy dumę narodową z powodu Małysza i Kowalczyk, przemilczając skrzętnie fakt, że ich pojawienie się na podium jest absolutnym cudem, a już z pewnością tylko i wyłącznie ich osobistą zasługą, z którą Naród Polski przez duże N, czyli my wszyscy, nie ma nic wspólnego. Bo jako Naród nie budujemy skoczni, nie inwestujemy w trasy narciarskie, nie budujemy wyciągów (a jeśli budujemy to prywatnie, co przewinięło się także przez słynną „afere hazardową”), zaś nasze panczenistki, które niespodziewanie zdobyły medal, trenują za granicą, ponieważ w Polsce nie mają ani jednej krytej hali do ćwiczeń; jeżdżą na otwartych, amatorskich ślizgawkach, jak małolaty przed Pałacem Kultury. Mówiąc więc szczerze – Małysz, który jest fenomenem charakteru, nie powinien wygrać swoich srebrnych medali, bo nie miał do tego w Polsce warunków, które są oczywistością w Finlandii, Szwecji, Niemczech, Szwajcarii czy Austrii. A jeśli wygrał, podobnie jak Kowalczyk, to nic nam do tego, ponieważ mimo naszej dumy narodowej nie zrobiliśmy niczego żeby im to ułatwić.

Co natomiast robimy dla sportu?

Otóż to, co jest najłatwiejsze i najtańsze, a więc obstawiamy zwłaszcza bardziej rokujących sportowców ekipami lekarzy i trenerów, którzy starają się „w dozwolonych granicach” przekształcić organizmy sportowców w maszyny do bicia rekordów. Gdy wybucha afera dopingowa równocześnie przenikają do prasy informacje o dziesiątkach „dozwolonych prawnie” zabiegów, stosowanych wobec sportowców, dotyczących ich odżywek, trybu życia, jedzenia, spania. Są to, powtarzam, zabiegi „legalne”, ale można też dać głowę, że żaden z wyczynowych sportowców nie przypomina już dziś w niczym greckiego pasterza kóz, który raz do roku opuszczając swoje stado jechał na olimpiadę, aby posiłkować się z takim samym

*Dokończenie na III str. okładki*